

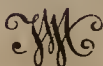
CHATA ZA WSIĄ.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

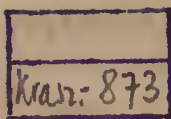
TOM II.



PETERSBURG.

NAKŁADEM B. M. WOLFFA.

—
1854.



II nr inv. - 874

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie
Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby
egzemplarzy.

w Warszawie, dnia 18/30 Grudnia 1853 r.

Starszy Cenzor, Rada Dworu,

J. PAPŁOŃSKI.



w Drukarni J. Jaworskiego w Warszawie.

Jest w człowieku siła, na której rzadko kto się poznał, rzadko kto użyć jęj umiał. Siła to czarodziejska, która dokazuje cudów: podbija pod swą władzę wszystko co ją otacza, pęta żywioły przeciwnę, walczy zwycięsko z czasem, przestrzenią, zniszczeniem; której potęgą wznoszą się dzieła olbrzymie, stają się cuda niepojęte — tą siłą jest wola!

Słůwko, ale co w tēm słowie! Jakie skupienie władz wszystkich, jakie spotęgowanie człowieka! Rozbierz wolę, a znajdziesz wnięj treść i istotę najwyższych przymiotów ludzkich; tą jedną sprężyną pociągnione, wchodzą w ruch i działanie siły nieznanę, uśpionę, nadziemskie, których nic nad nią

poruszyć nie zdoła. Ustaje woli działanie, a zmienia się cały człowiek: słabnie, osuwa się, upada, niknie!... Wola nie jest wyłączną potęgą geniuszu, talentu, rozumu; każdy ją mieć może, kto ją w sobie wyrobił, i od najlichszego robaka ziemi, każdy nią cudów dokáže. Całe życie praktyczne stoi na woli; brak jęj czyni niewolnikiem (1), jak posiadanie jęj władcą. Na tęg osi obracają się koła losów, niewidzialną kierowane dłonią, ale poruszane jedną siłą woli.

Nie wiem, czy więcęj się dziwić potrzeba olbrzymim piramidom egipskim, celi pustelnika wykutęj dłonią drżącą w twaręg skale, czy chacie cygana zlepionęj niczém z niczego?

Zmierzcie siły i ich skutki, a otrzymacie wypadek sprawiedliwy: bo wielkość dzieła rachuje się władzą jego twórcey. Drobný, niewidzialny otworek, który wyrył robaczek w drzewie, dla mnie przynajmniej jest tak zadziwiającą budową, jak tunel pod Tamizą, złobiony ręką i myślą ludzi tysiąca. Ciężar jaki mrówka dźwiga na swój *tumulus*, zło-

(1) Wyraz cudowný, malujący nie-wolę, to jest człowieka bez-woli.

żony prawie z mikroskopijnych okruchów, wzbudza większe podziwienie we mnie, niż obelisk luserski przyciągniony do Paryża. Tak samo i w sprawach ludzkich: bylebyś wpatrzył się w ten światek małuczki, na który mało kto oczy obraca, znajdziesz w nim i piramidy, i dzieła olbrzymie, i cuda stworzone jedną tylko wolą, może bardziej zdumiewające niż to, czemuśmy codziennie dziwić się przywykli.

Naprzeciw cmentarza w Stawisku wznosiła się już chatka, dzieło jednéj silnéj woli, zdumiewające ogromem, choć liche z pozoru. Nikt nie pomagał dźwigać drzewa, nikt go prócz cygana nie ciosał i nie spajał, nikt nawet dobrém życzeniem nie wsparł osamotnionego robotnika; a jednak sklecił tę lepiankę, po każde polano drzewa chodząc z osobna do lasu, każdy dyl dźwigając na plecach pod górę, i za wyostrzenie siekiery pracując u kowala, bo mu inaczej jak czasem swoim zapłacić nie mógł.

W kilka tygodni po weselu i po opisanych wypadkach chata Tumrego była prawie na dokończeniu. Wielką w tém pomocą stała się dla niego żona, bo jój widok zagrzewał go, zachęcał, a pracowite dłonie nie jedno polano przywlekły pod cmentarzy-

sko. We dwojgu, praca już lżejszą stała się cyganowi; a gdy wieczorem uznojony upadł na lichęj ławie odpocząć, miał ku komu zwrócić oczy, miał już przemówić do kogo.

Motrunie przywykłej do domowego gospodarstwa, które się dostatniem w porównaniu do nagich ścian ich chałupki nazwać mogło; ciężko było oswoić się z tym bytem, dla którego utrzymania wszystko niemal stworzyć było potrzeba z niczego. Tak mało, zdaje się znajdziesz w ubogiej chacie wieśniaka, a jednak ile [tu niepostrzeżonego sprzętu, drobnotek, które powolnie nabywać, robić, dostawać musi. W chałupie Tumrego, prócz kupionych przez Motrunę na targu najpotrzebniejszych rzeczy, nic a nic nie było. Cygan obchodził się upieczonym kartoflem i zaczerpniętą w dłoń wodą. Począwszy od wiadra, sprzętu pierwszej potrzeby, przy którym jeszcze czerpak być musi lipowy, ileżto brakło co chwila! Stół, ławy, niecki, cebry, dziżkę dostać musieli, bo się bez nich obejść nie mogli we dwoje. Jednym też chlebem żyć było trudno, a ogród zasa-
dzać za późno.

W początku myślała Motruna, że wieś i bracia, którzy się tak nieprzyjaźnie stawili dla nich, dadzą

się przekonać i nakłonić do przebaczenia ; ale zaraz pierwszych dni przekonała się, że albo wiele na to czasu byłoby potrzeba, lub nigdy może dokonać się to nieda. Wieśniak ma to do siebie, że wraz powziętém uczuciu i myśli trwa uparcie; nie ma on czasu na rozmyślanie, na rozbiory tego, co uczuł i przedsięwziął: czyn zajmuje mu niemal życie całe, raz więc stanąwszy na drodze, zbić się z niej nie daje niczém. W sercu jego rozbudzone wzruszenie dzień jeden podaje drugiemu dniowi, a myśl, z którą usnął z wieczora, wstaje z nim nazajutrz rano.

Bracia Motruny stanęli właśnie na gościńcu, z którego ich nie sprowadzić nie mogło; owszem, dwór wdaniem się swoim przyparł ich jeszcze do niego, a cała wieś oświadczając się za nimi i pośmiertną wolą starego Lepiuka, niepodobném prawie czyniło dla nich cofnięcie się.

Jakkolwiek kowal był bardzo wiosce potrzebny, zarzekli się wszyscy, że Tumrego nie użyją, choćby o mil kilka z naradnikami chodzić mieli. Bracia Motruny zerwali z siostrą zupełnie, i zdala nawet nikt nie spojrział litościwie na tych wygnańców z pod cmentarza, których lepianka powoli się nakrywała i kończyła.

Przejeżdżając drogą, każdy z ciekawością poglądał na chałupę cygana, ale jak skoro znajomy zobaczył Motrunę w progu, popędzał konie żeby ją minąć, odwracając twarz ku cmentarzowi, bez powitania i dobrego słowa. Najodważniejsi nawet z gromady, starym zwyczajem trzymali z gminą i słuchali jój wyroku.

Dni tak upływały, a żywa dusza nieprzestąpiła proga, i nie słyszeli głosu nad swój własny; a gdy długa noc jesienna nadeszła z wichrem i burzą, tulili się do siebie z zabobonnym strachem, bo obojgu w téj pustce na myśl przychodził rozgniewany Lepiuk i sąsiednia jego mogiła.

Pracy tak było wiele, a znój tak nieustanny, a przyszłość tak straszna, że oboje nie mieli jeszcze czasu boląc nad dniem dzisiejszym. Toćto jedyna ulga wielkiej nędzy, że ona przed sobądaleko nie widzi. Szczęśliwsi dręczą się jutrem, płacąc za pomyślność dzisiejszą niepokojem przyszłości; biedny, w opasany zewsząd dolą swą dodniową widnokregu, na nią już tylko boleje. Tak i z niemi było.

Tumry zwłaszcza w znoju kończąc swą chatę i poczynając kuźnię, ani się oglądał na nadchodzą-

ce: głód i zimę. Motruna czasem myślą wybiegła po kobiećemu naprzód, ale ją odciągnęła troska powszednia. W istocie, przyszłość była groźna, a nawet dla najnędzniejszych zastraszająca. Dwór pusty z kapitanem Harasymowiczem na gospodarstwie, nie mógł być żadną pomocą; wieś odsunęła się od nich całkowicie, bo nawet Maksym Lach unikał ich teraz; do postawienia kuźni więcej jeszcze potrzebował cygan pomocy niż kiedy, a z kąd było wziąć żelazo. młoty, kowadło, i pierwszy narząd rzemieślniczy?

Jakkolwiek przywykł Tumry po cygańsku obchodzić się lada czém, wszakże i miech, i cęgi, i młot, i kowadło były konieczne. Na horno potrzeba było cegły, i cygan sam zbudować go nie umiał! A bez kuźni jakąż znów dla nich przyszłość, i z kąd wziąć chleba kawałek?

Podtrzymywała go nadzieja, że gdy warsztat swój postawi, gdy ludzie zobaczą tuż blisko to, czego dotąd daleko szukać musieli; powoli zaczną się udawać do niego z pilniejszą robotą choćby ukradkiem, a za przykładem śmielszych pociągną się i bojaźliwsi.

Wiele jeszcze jednak potrzeba było do tego.

To, co pozostało Motrunie ze sprzedaży krówki, wychodziło powoli na kupno najpierwszych potrzeb do życia: mąkę, krupy, omastę i nieustannie odkrywające się jeszcze nowe w domu niedostatki; ani pomyśleć mogli o przysposobieniu kuźni i potrzebnych do niej narzędzi z téj odrobiny, którą jeszcze mieli, bo ta musiała być obróconą na pilniejsze wydatki.

Cygan jeszcze jednak nie tracił serca, nie postradał odwagi, a praca nie dawała mu czasu na próżne narzekania i rozpacz. Choć chatka jakotako zlepioną była powierzchownie, jeszcze w nią ścieł musiał zakładać i lepić, ze szczątków szkła połączonych na śmieciiskach jakie-takie porobić okienka, postawić ławy, stół, łóżeczko. Krzątał się więc nieustannie latając do lasu, a w domu ciosając i przybijając od świtu do nocy. Ledwie im pozostawała chwilka na południową strawę, i spoczynek z rozmową wieczorną.

Motrunka także miała co robić? Trzeba było chleb upiec, zgotować jedzenie, i na to wszystko nanosić wody, co najgorsza. Nablizsze źródło było w jarze nad drogą do wioski, o dobre staję od chaty, u brzegów stawu, a do niego trzeba było schodzić

gliniastym obrywem biegnącą ścieżynką, którą lada deszczyk prawie nieprzebytą czynił dla ślizgoty: cóż dopiero, gdy nią z ciężkimi wiadrami na plecach powracać musiała, drapiąc się pod górę Motruna! Po wodę zaś najmnień dwa razy w dzień zejść było potrzeba. Szczęściem jeszcze, że mało kto chodził do téj studzienki, i biedna Motruna nie spotkała tam kobiet, których milczenie lub ucieczka, byłyby ją boleśnie dotknęły.

W kilka tygodni po przeniesieniu się do ubogiej lepianki, nic o tém nie mówiąc mężowi, zajętemu jeszcze kończeniem lichéj budowy swójéj; Motruna postanowiła spróbować szczęścia i zakołatać do serca rodziny i braci. Nie widziała ich od chwili, w której przeciwko ich woli opuściła chatę ojcowską, i widocznie unikali nawet przejeżdżania drogą pod cmentarz wiodącą, kołując dalej na pańszczyznę i w pole.

— Niejużciż ja im już obca? — mówiła sama w sobie — wszakże chowaliśmy się pod jednym dachem, jedną pierś ssali; czyby tak odepchnąć mnie mieli na zawsze? Swoją polaje, pogniewa się, ale pożaluje. Jak im powiem biędę naszą, taki serce się im otworzyć musi, i pomogą, i przebaczą!

Takiemi zagrzewając się myślami i dodając sobie otuchy, której w istocie jęj brakło, Motruna ku wieczorowi dnia jednego, gdy Tumry zabawił się w lesie, wzięwszy wiadro na plecy na przypadek, aby się miała czém przed nim wymówić, zeszła niby ku studni. Tu w krzakach schowała naczynie i nosidła, a sama choć tęskno i bojaźliwie, pociągnęła w drogę ku dawnęj chacie ojcowskiej.

O! biłoż jęj biło biédne serce, gdy ten dach słomiany ujrzała, dziś całkiem obcy, a dawnięj tak dobrze, tak serdecznie znajomy! Każda tu na dachu mchów plama, każdy snopek świeży i żółty, każda kluczyna usunięta na stodółce, tak przypominały dnie, w których patrzyła na nie spokojna i szczęśliwa może! Toż samo stado wróbli świegotało na płocie i w bzach ogródka, i dym z komina tak się zwijał jak dawnięj, i wrotka tak były na bok leżąc otwarte; — wszystko jak było, wszystko, a jednak ten dom tak do serca przyrosły, już nie jęj, już obcy, już cudzy!

Strach ogarniał zbliżającą się do niego Motrunę, a łyzy kręciły się w oczach, bo całe dzieciństwo i młodość wybiegły przeciwko nięj za wrotka, powitać wracającą wygnankę, i niosły w ręku pęki

niezabudek... Ale prócz tych mar, nikt więcej nie wyszedł.

Wahała się czy przejść próg chaty, czy się ośmielić zajrzeć tam, i przemówić do dawniej swoich, dziś cudzych ludzi? A nuż nie zastanie braci, tylko ich żony, które zawsze krzywém okiem patrzyły na nią, choć z serca starała się im pomagać, i zastępowała je w pracy około chaty i na dworskiém. Sparła się na płocie biédaczka i zapłakała gorzko, tuląc oczy fartuchem; i stała tak długo zadumana, nie wiedząc co począć, gdy uczuła się trąconą w ramie.

Serce jéj zabiło, otworzyła oczy, a nuż to brat, a nuż to siostra? Nie... byłto stary kot czarny, który ją poznał zdaleka, wskoczył na płot i łasił się Motrunie.

— A! pocziwy burek! — zawołała — choć on nie zapomniał Motruny; dziękuję ci, dziękuję!

Kot nie sam przecie przypomniał sobie rękę, która go dawniej karmiła: wkrótce otoczyły ją kury nadbiegające z podwórka, zwiedzione, sądząc, że im ziarna posypie, i para szarych gołębi zaczęła się kręcić nad głową.

To powitanie istot, co tak mało mają zwykle pa-

mieci, poruszyło biedną wygnankę, sierotę, i do łez ją rozczuliło. Witała się ze wszystkimi, głośno wywołując nadane im nazwiska; a gromadka krzykliwa kręciła się dokoła, coraz głośniej szczebiocząc. Nie ośmieliło to jednak Motruny wstąpić do chaty, która stała zawarta, i nikogo z niej dotąd widać jeszcze nie było.

Dzień był przecie sobotni, i pewnie żadnej we dworze, ani w polu roboty: bo całe dwa dni lał deszcz, a od południa dopiero przesychać zaczynało. Już miała odejść przejęta strachem, gdy znajomy skrzyp drzwi od izby dał się słyszeć i wyszedł z nich starszy brat, widocznie tylko co przebudzony, przeciągając się jeszcze. Na gwar ptastwa sądząc, że może jastrząb zwija się w okolicy, przyłożył rękę do czoła i spojrzał; a z za wrót postrzegł głowę Motruny i stanął, widocznie zafrasowany. Jedną już ręką chwycił za skobel od drzwi, jakby chciał nazad powracać, a drugą rzucił zniechęcony. Walczył z sobą: to uciekać myśląc, to odprawić siostrę kilka słowy: ale brew jego namarszczona nic dobrego nie zwiastowała.

Motruna wyciągnęła ku niemu rękę:

— Bracie! bracie!

— Nie ma tu tobie ani braci, ani siostry, ani rodni — odparł surowo jak sędzia, gospodarz — tyś już nie tutejsza! Precz cyganicho od drzwi i progu naszego, precz! Po co ty tu? Może wypatrujesz dla męża, którydyby konie nasze wyprowadził?

— Maxymie! na miłość Bożą, godziź się tak siostrę przyjąć! Odpędź, nie przyjm, ale nie łaj tak boleśnie! Co wam zrobił mój mąż? com ja wam winna?!

— A ojcaście zapomnieli? — zakrzyczał Maxym groźnie. — Kto go zabił jeśli nie wy dwoje, i kto potem szukał we dworze pomocy i opieki przeciw nam? No! niechże i teraz dwór was ratuje i dwór wam pomaga! My tobie nie bracia!

— Maxymie! choć dobrém słowem pożegnaj! My z głodu poumieramy: ty nie znasz naszej nędzy! Z waszój namowy cała wieś na nas, chléb nam z gęby wyrwaliście. Nie chcecie mnie za siostrę, ja wam się nie narzucam; ale przestańcie przesła-dować.

— Nie! nie — krzyknął Maxym — będziemy was męczyć, aż sobie precz ztąd w świat za cyganami, braćmi waszemi, pójdziecie. Obchodziła się wioska

tyle lat bez kowala , obejdzcie się i dalej, a my was nie chcemy mieć na oczach!

Motrunie ta nielitośna mowa odezwała się aż w sercu, i ścisnęła je gniewem prawie.

— Prześladowajecie nas cyganami—zawołała podnosząc się — a i wyście synowie Romów! Prześladowajecie nas, a lepsiście sami, co odpychacie krew waszą na zgubę i głód, byle wam z oczu uszła!

— Precz mi jędo! bo cię psami wyszczuje! krzyknął Maxym wypadając z chaty za próg.

— Psy lepsze od ciebie — rzekła Motruna — bo mnie wszystkie znają za panią, kiedy ty wyparłeś się siostry.

— Boś ty się wyparła ojca i jego woli — przerwał Maxym.

Motruna spuściła oczy, obeschłe z łez i gorejące, wstrzęsła się i wzgardliwe rzucając wejrzenie na brata, odstaąpiła na kilka kroków od chaty. Kot, kury, gołębie, nadbiegły, w téj chwili stary Kasztan, pies podwórzowy, który się wśród wrzawy obudził i zlaźł z przyzby: wszystkoto poszło za dawną karmicielką.

Maxym znikł już za drzwiami.

Burek zeskokczył zrazu z tynu, i ocierając się o Motrunę, kilka kroków włókł się za nią powoli; ale widząc, że minęła wrota i kierowała się ku drodze: przystał, usiadł, łapki pod siebie podłożył, i w początku poglądał na nią, a nareszcie, że słońko mu przygrzewało, zdrzémnął się wśród podwórka.

Kury napróżno pozierając na fartuch Motruny i szczebiocząc, poskakały za nią kilka kroków, dziobiąc ją po nogach i chwytając za spódnicę; ale i te zobaczywszy że schodziła ze zwykłych granic ich państwa, zaczęły się grzebać w śmieciisku i porzuciły ją samą.

Para gołębi leciała nad jęj głową przysiadająca na dachach, w studniach, na dachach; zdawała się ją wzywać nazad i gruchała ku swęj pani, ale nie daleko jęj towarzyszyła; samica pociągnęła ku gniazdu pierwsza, a samiec wrócił się za nią.

Kasztan stary wytrwał podobno najdłużej: wyprowadził ją za podwórko, za wrotka aż na drogę, i lizał po ręku i mruzczał, zapraszając niby, aby się nie oddalała od chaty. Ale Kasztan tak już był stary! Boki miał wypelzłe, ogon niemal nagi, nogi sztywne i suche, trudno mu chodzić by-

ło, zwykle najdalszą jego podróżą były wycieczki za wrota, a na drogę nawet nie puszczał się nigdy. Miał na przyźbie wyleżany barłóg słomiany, do którego był tak przywykły. Jakże mu było wyrywać się nie wiedzieć jak daleko z Motruną? Szedł, szedł, i przyzastanowił się kiwając ogonem; zrobił krok jeszcze, szczechnął nawołując, i spojrział na chatę i na Motrunę, jakby rozmyślał co zrobić z sobą. Nareszcie, gdy nie odwracając głowy biedna sierota szła dalej, Kasztan podtuliwszy ogon spuściwszy głowę, zawrócił się po cichu do swojej przyźby, powoli podreptał ku niej, i mruczac spać się położył znowu.

Uciekając ze wsi ze łzami w oczach, żona Turmego przechodzić musiała koło stodółki ojcowskiej w której cep słyhać było. Wrota jej na pół otwarte, dozwoliły spojrzeć wewnątrz, i najrzała młodszego brata w koszuli jednej, zwijającego się koło kilku leżących na toku snopów żyta.

—A może też on litościwszy będzie! — zawołała w duchu i wsunęła się cicho we drzwi, a cień jej obudził zamyślnego pracownika.

Podniósł głowę, spojrział, i zdumiał się widząc siostrę.

— A ty tu czego? — zawołał więcj niespokojny jak gniewny—ty tu czego Motruna?

— Do was Filipie! do was! Byłam u Maxyma po dobre słowo tylko, po przebaczenie; Maxym mnie jak włóczęgę i obcą przepędził: czyż i ty tak zrobisz jak on.

— Maxym cię przepędził?—rzekł spierając się na cepisku Filip—a cóż ja ci pomogę? co ja ci poradzę.

— Choć pożałujcie! choć przemówcie!—zawołała biedna kobieta. Cała wioska z waszj przyczyny od nas jak od zarażonych ucieka: nikt słowa dobrego nie powie, twarz nawet, spotkawszy się, odwracają! Czyż taki litości nad biednemi nami mieć nie będziecie?

— E! to darmo—rzekł żywo zmieszany brat młodszy—to darmo: kiedy Maxym cię przepędził, to cóż ja poradzę! Z całą gromadą zmówili się na was, żeby nie przyjmować i wypędzić: to darmo! Ty wiesz, że ja sam w chacie z Maxymem ledwie wytrzymać mogę, a tobym się miał i z nim i z gromadą zadziierać! Toby mnie, ani żonie pokoju nie dali i z chaty bym uciekać musiał. Idź sobie, idź! bo jak cię tu zobaczą, to i mnie prześladować będą!

Motruna płakała stojąc oparta o wrota.

— O mój Boże! mój Boże! do kogo się tu już udać, kto pomoże, kiedy bracia własni opuszczają i wypędzają!

— A było ojca słuchać — rzekł cicho Filip — to byś teraz nie biédowała Motruno; i dla cygana święta sobie nie zawiązywać i wstydu nam nie robić!

Motruna milczała.

— Co się stało, tego nie powrócić — odezwała się po chwili — ale nie daj Boże dzieciom waszym takięj doli, bo my z głodu pomrzemy, jak zima przyjdzie.

— A dwór? — spytał brat.

— Nie ma dla nas nikogo we dworze!

— Dali wam, słyszę, krowę?

— Już ją dojadamy, bośmy sprzedać musieli.

Brat Filip zamyślił się chmurno.

— Idźno! idź! już ja tobie tu nie poradzę — rzekł cicho. — Ot nabierz w fartuch żyta co dźwigniesz, a nie mów nikomu żem ci dał: słyszysz! Przed Maxymem powiem, że kopa była z brzegu, więc ją gęsi wytlukły i wróble nadpiły.... Bierz, bierz, nie sromaj się; dla miarki nie przepadniemy. A idź, bo jak cię Maxym zobaczy....

Nie tak ta drobna ofiara kilku garncy żyta, jak pocziwe serce brata, do którego się odwołać mo-

gła, bo dla niej nie było jeszcze stracone, uradowało Motrunę, i ze łzą w oku poczęła go całować w rękę, wołając:

— A! mój brateńku drogi! niech ci Bóg płaci za pocziwość twoję dla mnie! Dawno już nie słyszałam słowa, nie poradowałam się tak jak dzisiaj!

Filip zdawał się także wzruszony, ale wejrzenia jego rzucane na wrota, malowały obawę; począł sam zgarniać żyto, i prawie gwałtem wsypywać je w fartuch Motrunie.

— A dlatego—mruknął z cicha—idź ty sobie, idź! Póki Maxym cię tu nie zdybie, to ja ci czasem choć kradzioném pomódz będę mógł; ale uchowaj Boże, by zobaczył: i mnieby zjadł, i tobieby przepadło, co ja tam czasem dać mogę. Taki idź Motruno.

Lzy kręciły mu się w oczach, poprawiał końcem cepiska słomę, zgarniał ją, odwracał się, i wyprawiał biedną.

— Maxym—dodał w końcu—głowa domu: on wie co robi, i ojciec wiedział co robił! Nie trzeba było za cyganem latać, bylibyśmy żyli razem, a teraz wszystko przepadło!

— Jaktó!—płacząc zawołała Motruna—czyżu was takie serce z kamienia, że mi nigdy nieprzebaczycie?

Filip potrząsał głową.

— A jak my mamy odmienić, co ojciec postanowił? On umarł z wolą swoją i nie ma go, żeby ci przebaczył! To nie my, to on rozkazuje; na to sposobu nie ma!

— Nigdy! nigdy! chwytając się za głowę zawołała kobieta.

— Musi być że nigdy—odparł Filip, i popychając ją z lekka, dodał żywo:—taki-bo idź Motruno, bo bieda będzie, a i mnie czas zgarnąć żyto, bo wieczór nadchodzi.

Milcząca rzuciwszy okiem na litościwszego młodszego brata, który jakby się swego serca wstydził, mrużąc coś, koło zboża robił i oczy chował; Motruna wyszła bogatsza o kilka garncy żyta, którego jój brat w fartuch nasypał, ale smutniejsza, ostatnią straciwszy nadzieję.

Od stodółki drogą po za płotami przebrała się do grobelki, przeszła staw, i zbliżyła się do studni, aby tam zabrać zostawione wiadra.

Nie było nikogo u źródła, a gdy przyszła odszukać wiader i nosidła, Motruna klasnęła w ręce z rozpaczą, spostrzegłszy, że jój najpotrzebniejszy sprzęt skradziono.

Tumry długo bawił w lesie, bo musiał odszukać drzewa na przysochy do kuźni i przysposobić kłuczyny, o które było trudniej w wyniszczonym borze, niż o inny materyał. Późno już więc mrokiem wrócił do chaty, i gdy się zastanowił przed progiem lepianki, chcąc ciężar swój zrzucić z ramion namulanych, postrzegł Motrunę, która fartuchem oczy zasłoniwszy, siedziała płacząc przed drzwiami.

Twarz cygana zapalała ogniem; pomyślał że mógł kto krzywdę wyrządzić żonie w niebytności jego, i wszystek ciężar swój rzucił o ziemię śpiesząc do niej.

Kobięta wstrzęsła się na stukot padającego drzewa, porwała się na nogi i stanęła przelekła.

— Co ci to? na *Mroden oro*, co ci to Motruno? A! *gadziowie* przekłęci—rzekł, przypominając sobie w gniewie język cygański—już ci coś zrobili!

I pięść ściśniętą podniósł do góry.

— Klnę się—dodał—że już dłużej nie wytrzymam; sam zgine, ale wieś pójdzie z dymem w popiół, za lzy i krew naszą! Niech pogina jak *szukela* (pies), kiedy jak *szukela* nie mają serca!

To mówiąc cygan, którego oczy gorzały, tak

był straszny wściekłym gniewem, że się Motruna aż cofnęła, zegnając mimowolnie.

— A Tumry mój! — zawołała — czegoż się gniewasz i grozisz? Nic się nie stało naprawdę, nic mój kochany!

— Dlaczegoś płakałaś? *Row* (płacz) nie przychodzi bez przyczyny!

— Nad swoim głupstwem płakałam — odpowiedziała Motruna, chcąc wszystko utaić przed mężem. — Ot! przepadły mi wiadra z mojej winy, nie z niczyjej.

— Wiadra? jakim sposobem?

— Poszłam po wodę, ale przez lenistwo nie chciało mi się czerpać z krynicy, więc zlażłam aż do stawu; a że tam woda płynie żywo, a mnie nogi drżały, potopiłam wiadra... Zabrała je rzeka... młyn porozbijał.

Cygan spojrzał jej w oczy i głową pokiwał.

— Gdzie? co? — rzekł powoli — w stawie moczą konopie, a tybyś tam wodę brała! Nadto z ciebie dobra gospodyni! Gdyby i poszły wiadra z wodą, toćby niedaleko popłynęły, bo trzciny rosną od brzegu, a tobie nie nowina po kolana się zamoczyć!

Ej! to coś innego, Motruno; ty mnie nie oszukasz: inaczéj te wiadra zginęły!!

Motruna niebardzo kłamać umiała: zarumieniła się cała, przemówiła coś niewyraźnie, ruszyła ramionami, udając trochę zagniewaną.

— Coto gadać!—dodał Tumry—mów prawdę ko-
biéto, bo się ona nie skryje!

Ależ ci mówię jak było — wchodząc do chałupy, zmieszana odpowiedziała Motruna.

Cygan w ślad szedł za nią, i w téj chwili, choć zmrok padał, spostrzegł na środku izby leżący fartuch pełen żyta, który Motruna, nie myśląc co robi rzuciła powróciwszy.

— A to co—spytał wskazując ręką.

— To żyta miarka, którą kupiłam za złoty u przejeżdżającego z Rudni człowieka.

— Za złoty!—kiwając głową odpowiedział cygan już nie dając wiary.—Nie wierzę Motruno, mów prawdę, mów prawdę, to się nie godzi! Tyś płakała, ja chcę i będę wiedział wszystko, choćby mi przyszło nie wiem gdzie pójść po to.

Motruna milczała jeszcze, zbierając końce rozrzuconego fartucha.

— Ale boś mnie zastraszył swoim ogniem i gnie-

wem. Tumry—rzekła powolnie—mamy już i tak dosyć gniewu ludzkiego, dość złości ludzkiej; nie sprowadzajmy ich więcéj na głowę naszą!

— A gdybym ci dał słowo, że bez woli twojéj nic nie pocznę?

Motruna odwróciła się zapłakana.

— Daj ci Boże zdrowie! Ot! Lżej mi będzie, gdy ci powiem wszystko, i powiem, ale się mścić nie będziesz?

— Na *Mroden-oro* nie będę, póki mi stanie cierpliwości, Motruno; bom wiele już przebaczył i zmęczyła mnie nienawiść ludzka. Ale mów, a prędko, bo się trzęsę.

Motruna wtedy rozpoczęła całe opowiadanie swoje, przerywając je łzami, i omijając, co jéj Maxym, wygnawszy z podwórka, powiedział: a cygan słuchoał w tak posępném milczeniu, tak upornie ścisnąwszy usta, że pary nie puścił, aż skończyła.

— Psy!—zawołał podnosząc się—psy bez serca! Nie chcę ich ja! mużny! nie potrzebuję! Z głodu zdechnę, ty i ja, a ziarna tego przekłétego zboża nie ruszę!...

— A Filipże co winien?—nieśmiało wrzuciła Motruna.

— Filip baba, *Egaszi!* — krzyknął cygan — boi się mnie, boi się brata, boi się dworu i daje jałmużnę żeby się pozbyć! Rzucę mu ją jutro w oczy!...

— A! na miłość Boga — podbiegając przerwała żona — i jego, i mnie i siebie zgubisz! Maxym gdy się dowie, pokoju mu nieda i zagryzie; a za dobre serce odpłacim mu biędą! Ja na to nie pozwolę!

— A nie skamienieje ci ten chléb w ustach ko-
biéto? — zapytał cygan — chléb jałmużny jak psu
rzucony, siostrze przez *Pechra'a!* A będziesz ty
go mogła jeść! a da ci on życie? Nie! o nie!

— Wyrzuc go jeżeli chcesz, ale nie oddawaj bra-
tu — błagając, krzyknęła Motruna — i nie gub go
i nie gub mnie!

Jeszcze Tumry odpowiedzieć nie miał czasu, gdy
do drzwi niedomkniętych, ktoś powoli zaskrobał.

Szelest ten nieprzywykłym do niego uszom wy-
gnańców tak się stał dziwnym, że oboje przejęci
strachem, stanęli jak wryci; a cygan przeczuwając
nieprzyjaciela bo się już wszystkiego obawiał! po-
skoczył ku progowi.

Motrunie przyszły na myśl duchy cmentarne,
upiór ojca mściwy, i drżąc przeżegnała się.

— Kto tam? — silnym głosem, odmykając drzwi, zawołał cygan, usiłując okiem przebić ciemności, — kto tam!

— A, a, dobry wieczór? dobry wieczór? Cyt! cyt! nie bójcie się; a toż goły rozboju się nie boi, a u was pewno się nie ma na co połakomić?

Słowa te zająkliwie wymówione, i przerywane cichym śmieszkiem, wyszły z ciemności powoli; a przed zdziwionym cyganem pokazała się dziwaczna postać głupiego Janka, który na ramionach dźwigał dwa wiadra pełne wody. A że był mały bardzo, ledwie z niemi przez próg mógł przelézć, bo się niemal po ziemi wlokły.

— Wiadra moje!! — krzyknęła Motruna plaskając w ręce z radości — doprawdy to wiadra moje... to głupi Janek!

— Otóż nie taki głupi jak myślicie — odpowiedział gość, — kiedy znalazł to, co mądry zgubił! A! a!

Bóg ci zapłać — rzekł cygan — ot już drugi raz winienem ci przysługę!

— Coś ty tam mnie winien! — skrobiąc się w głowę, wybełkotał karzeł.

Ale gdzieżeś je znalazł — spytała Motruna —

Jakiś ty pocziwy, patrzcie nawet mi je zwodą oddał.

— A jużciż kiedy wiadra, to zwodą! Pocoby ci się o téj porze zdały bez niéj — odparł Janek — A gdzie ja je znalazł! o! o! to długoby o tém gadać.

— Powiedźże choć gdzie, i jakieś je odebrał.

— Ja ich nie odbierałem — rzekł Janek.

— A jakże ci się dostały?

— A! a! jakto wam gadać łatwo, to się zdaje, że i mój język tak chodzi jak wasze; poczekajcie, poczekajcie!

Tumry i Motruna stanęli przed Jankiem, który siadł w progu.

— Ot jak było — zabrał się opowiadać powoli. — Idę ja sobie, idę, ot tak! wypędzili mnie z chaty, bo mieli jeść wieczerzę, zamknęli drzwi: poszedłem... Idę, idę gdzie oczy poniosą przez grobelkę, przez mostek, i jakoś się zaszło do studni. Tu, myślę sobie, siadę, i choć wody się napiję, kiedy jeść nie ma co... Ale jak tu się wody napić, kiedy woda głęboko, a zaczerpnąć nie ma czém. Myślę, myślę, a musi to być jakiś sposób, i niechno ja tylko położę się, a pocznę go szukać, to znajdę! Odstąpiwszy

tedy od studni kilka kroków, buch w krzaki! Buch, i zbiłem sobie boki o coś! A żeby cię wciornaski! Obejrzę się parę wiader, a jeszcze nowe, i nosidło! Ot i sposób. Ale kto to tu porzucił je? Oglądam się, żywój duszy.....

Nadchodzi Naścia Laszkowa: dobry wieczór, Naścio! — Ta mi głową nie kiwnie — możeby ci wody wyciągnąć? — Idź do diabła. — Tylem skorzystał. — Moja Naściu, spytałem, nie wiecie czyjeto wiadra? — Wiadra! oj! — poskoczyła jakby jęj dał kulakiem w bok, i nuż wołać: — a to moje, a ja ich szukałam! — Twoje! rozśmiałem się, taka to prawda jak mysz kaszle! Zapewne ...

— No, moje nie moje — odpowiedziała — ale ja je biorę sobie. — A to za co? — A już ci ty mi oddasz. — Nu ja na nią głową kiwać: — A żeby ci kto wziął? — Zaczerwieniła się. — Powiedz lepiej spytam, bo ty znasz całą wieś: czyjeto one są?

Popatrzała dobrze, pokiwała głową: — Nowe, rzekła, nie znam..... taki nie znam.....! Z téj strony wsi co jest wiader, tobym poznała, ale to nie nasze! ..

— Ot i to poznam — dodała — że kupione na jarmarku w miasteczku, bo to robota nie tutejsza,

tylko bednarza, co wozi furami na targ, het! od Piątkówki aż.....

— Mnie już więcej nie było potrzeba — dodał głupi Janek — zastukałem sobie w główkę i zaraz mi odpowiedziało, że to wasze być muszą. Ale jak zaczęła Naścia gadać i to i owo, a ja z nią śmiać się, a tu nadeszła i Hrycycha, i we troje bajdurzyli, tak i do nocy przebałakaliśmy. Dopiero ja, żeby nikt nie widział, pociemku wody nabrawszy, przyciągnąłem je tutaj.

— Niech ci Bóg płaci, Janku! Ot i poczęstować cię nie mam czém — rzekła smutnie Motruna — u nas ubogo...

— Co tam dziękować i na co częstować! — rzekł mały potwór — mnie się jeść nie chce, bo wodę piłem! a taki w domu gdy przyjdę, choć łają i wypychają, coś mi w garnku zostawia. Ale u was tu goło, Motruno!

— A zkad co wziąć? — rzekł cygan. — I to, co widzisz, dwoje rąk robiło, jedno plecy dźwigały;... a teraz coraz to ciężej, coraz to gorzej, serce się drze..... Nie wiedzieć już jak radzić!

— Czyto ja tego nie wiem? — odpowiedział Janek po cichu. — Kto jak kto, a ja na to patrzę cią-

gle, i dziwuję się, aż mię kark boli od kiwania głową... Taki darmo, żebyś ty miał jeszcze głów trzy i całą górę ochoty, nie dasz na to rady!...

— Muszę — rzekł Tumry.

— Muszę! cha! cha! choćby zgubić duszę! — wykrztusił mały. — Tu i muszę nie poradzi! Zlepilesz chatkę, a z czego to zrobisz kuźnię?

— Koło cegielni jest dużo kawałków: będę powoli wybierał i nosił.

— No! no! a dalej: a kto horno zlepi? — spytał Janek.

— Mularz z Rudni...

— Darmo!

— Nie! ja będę tydzień robił u kowala, kowal za to mularzowi zapłaci, i horno stanie.

— A dalej co? M yślicie, żem ja kuźni nie widział! Byłem ja i w Rudni i w Piątkówce i w Czumarze na jarmarku, napatrzyłem się kuźni i cygańskich, i chrześcijańskich, i żydowskich!

— Będę rok pracował u majstra dniem i nocą — odpowiedział Tumry — to taki zapracuję na łatany miech, kowadło, obcęgi i na kawał żelaza do młota.

— A żona tymczasem?...

— Pójdzie sobie pracować! — rzekła Motruna żywo.

— A potem co? — spytał Janek — pójdziecie we dwoje w świat! Noć, to lepiej teraz!

— E! jak ludzie zobaczą kuźnię i węgla kupę, jak jeden, drugi podróżny pochwali się okuciem konia w karczmie, a przyjdzie transport w gołoledź albo z radłami w pole...

Janek głową pokiwał.

— Ta! ta! ta! to wy naszych nie znacie Stawiszczan — rzekł — Ho! ho! u nich jak u żydów, kiedy *cherim*, to *cherim*! Może toby i było za dziesięć lat, za dwadzieścia, ale wy tymczasem z głodu pomrzecie!

Motruna westchnęła, Tumry zamilkł posępnie.

— To darmo — rzekł Janek — już gromada się schodziła i ręce dawali i wódką zapijali i zmówili się, a ja ich znam. Jakby kto tylko do kuźni zaszedł, toby go z wioski na podole wypędzili: takby go prześladowali. Żeby jeno wiedzieli, że ja tu byłem i z wami gadałem, toby mi drzwi chaty nie otworzyli. O tem i nie myślcie.

— Tak ci się zdaje, Janku rzekł Tumry.

— Niech i zdaje — odparł mały. — Jak moje nie

w ład, ja z swojém nazad. To nie słuchajcie głupiego Janka, bo na to on głupi. Ale taki wam powiem, że jak ja co zaczę gadać, a do głowy mi się uczepli, to czy dziś, czy jutro, to się zrobić musi. Już jak tu starego Lepiuka na cmentarz przywieźli, a posłyszałem że braci do dworu wołali; zarazem sobie powiedział: będzie kuźnia, ale chleba nie będzie!

Motruna westchnęła, Janek wciąż mówił dalej:

— Ot i ze mną — rzekł — ze mną tak jak z wami się stało. Albo to ja gorszy od Iwasia, od małego Czuryły, od Andrzejuka kulawego? a jak mnie okrzyczeli za głupiego, wszystko przepadło. Już mnie w chacie dla nich nie ma: ani ja do dzieła, ani do gospodarstwa, ani do swadźby; co i myśleć o tém! Jak potrzeba robić a ciężko, a do potu, a nad siłę, to mnie wypchną; a jak kożucha, strawy, ławy, czy dobrego słowa, u nikogo nie wyproszę. I tak to już poszło na całe życie!

— No to pójdziemy ztąd — zawołał Tumry do drugiej, trzeciej, do dziesiątej wioski, a pracując znajdziemy kawałek chleba: nie tu, to tam! Ale nie porzucę im lepianki, która mnie tyle pracy kosztowała, póki mnie głód i nędza z niej nie wygnają!

— Róbcie jak chcecie — wstając rzekł Janek —

a mnie czas do domu. Dostanę i tak szturchańca, zem się zapóźnił, a byle drzwi były zaparte, to mi ich już nie otworzą, i w chlewku lub w plewniku wyspać się będzie trzeba. Ale mnie to wszystko jedno: skóra już twarda! cha! cha! cha!

To mówiąc Janek wysunął się z chaty i znikł w ciemnościach, pocichu zbiegając do wioski. Tumry i Motruna zostali sam na sam znowu, milczący i zamyśleni.

Zabłysło trochę światła w kominie, rozweseliła się chatka, i na krzywym stole ukazała się misa wieczorna.

— Na pohybel im! — zawołał siadając do niej Tumry — nie damy się, nie damy, choćby przyszło całe życie czekać, jak ten powiedział: aż źli wymrą i pójdą na cmentarz, a dobrych Bóg narodzi!..... Nie płacz Motruno! nie płacz! bo za te łzy zapłacić będą musieli bracia!

W takichto drobnych przeciwnościach i ciągłej pracy, upływały pierwsze miesiące młodego małżeństwa; za chwilę spoczynku i marzeń, potrzeba

było płacić drogo znojem i gniewem, który nie miał się wylać na kogo, bo z przed nich uchodziła wioska, omijając cygańską chatę, cygańską żonę i cygana z daleka.

Ale czy byli szczęśliwi oboje?

O! innato marzyć o szczęściu, a inna mieć je w dłoni; ono jak motyl mieni się rychło w poczwarkę, której opadają skrzydła. W swych schadzkach wieczornych, w pierwszych chwilach po poznaniu, nie domyślali się oboje, ilą łzami przyjdzie okupić zbliżenie się do siebie i wspólne życie. Motruna choć kochała Tumrego, zamyslała się często o swobodniejszej doli dni młodych! Łzy jój wyciskał ten rozbrat ze wszystkimi, to jój wygnanie ze środka rodziny, która się rozstała przed niemi. Często wśród nocy wzdychała, a sen nie przychodził, i żałowała przeszłości: a gdy na pamięć przyszło przekleństwo ojca, dreszcz przelatywał po niej. To znowu myślała o jutrze, o zimie, o długich może latach, które w tej pustce spędzić będzie potrzeba, męcząc się i patrząc na cudze męczarnie, — chwytala się za głowę przerażona i wylęka.

Ale wracać się nie czas już było!

Przed sobą miała jeszcze może wygnanie, opu.

szczenie téj wioski, na którą choć zdala patrzeć lubiła — i los dzieci, i nędzę, i żebractwo, i wło-
częgę!

Tumry dopóki od rana do nocy pracował, póki choć trochę miał nadziei, nie myślał o niczém, tylko o najpilniejszej robocie, dodając sobie sam sił, których nikt udzielić mu nie mógł: ale gdy praca się zastanowiła dla deszczów jesiennych, i zostawała mu tylko kuźnia, której sam postawić nie mógł; gdy całemi godzinami i dniami siedzieć było potrzeba beczynnienie, i dumać, dumać i dumać: i jemu ciężko się zrobiło na sercu. Przyszła tęsknota za życiem swobodném, wędrowném, pełném coraz jodmiennych widoków, w którém wczoraj nigdy nie było do jutra podobne: i przypomniała się Aza wesoła, dziwaczna, ale zapala jąca ak iskra ogniska kuźni Aprasza, i wszyscy ci, których dla jednej opuścił kobiety: biedna, milcząca żona wodza, jój małe szczebiotliwe dziatki, stare wróżki, co się za obozem wlokły, kuźnia pod namiotem w polu, skrzypiący wóz, który ją z miejsca na miejsce przewoził, całe, całe życie cygańskie, pełne nędzy, ale téż pełne ruchu i żywota.

Po niém dziś nagle Tumry siadł grzybem przy swojej lepiance, skazany na przykutą dolę, na jeden mały, smutny widok cmentarza z okienka, na jedną rozmowę, na niewidzialnych wrogów i pustkę!

Z Motruną przebrało się uczucia i rozmowy; rychło kielich wypili do dua, a nic nowego żywiołu nieprzyniosło ich losowi. Tumry chciałby był choć walczyć jak dawniej, jak wówczas cierpieć, byle czémś wyjść z odrętwienia, które jak na mrozie mających skołowacić, snem martwym opanowywało. I codzień myśl uporniej zawracała się do lat młodych, znienawidzonych, które wczoraj przeklinał, a które nateraz wydawały się zdaleka prawie uroczco ze swemi łzami i boleścią.

Z początku błkanie się po lesie rozrywało go i ulgę mu robiło, ale i las jednostajny spowszedniał: czuł coraz żywiej wyradzające się uczucie jakiegoś potrzeby ruchu, wędrówki, włóczęgi, innego nieba i ludzi. Był to nałóg stary, budzący się po przygaśnieniu picia, wszędy gwałtowności uczucia, które wprzód go stłumiło. Niepokój jakiś go trapił, wychodził na próg, włókł się drogą, powracał, i znów go coś z chaty ciągnęło.

A gdy się przemógł i wytrwał w miejscu dzień cały, to wpadał w skamieniałość, ledwie iskrę życia mającą w sobie. Motruna widziała to i milczała; starała się go pocieszyć, bo nie pojmowała tego inaczej, jak udręczeniem przyszłością i niepokojem o jutro, ale jéj saméj dzień za dniem tak było ciężko!

Myśli ich prędko się rozbiegły: ta ku wiosce, co dymiała w dolinie; druga w siny świat nieznany, szeroki, nieprzyjazny, a pociągający ku sobie. I tęskno im było we dwoje, choć się kochali jeszcze; ale potajemnie obojgu płakać się już chciało rzuconéj za sobą przeszłości!

Motruna siadała na pagórku, i w dłoniach sparszy głowę, z za łez patrzała na spokojne Stawisko: i myśl jéj lecąc na skrzydłach tęsknoty, biegła aż na podwórko ojcowskie, na strzechy chaty staréj, do znajoméj studni, do kochanego ogródka; gościła tam długo, długo, póki jéj widok mogiły ojca nie odwołał do rzeczywistości.

A ile razy spojrzała na żółty pagórek i jasny jeszcze krzyżyk co stał na nim: to się żegnała z przeżeniem, ze strachem, i biegła ukryć się do swojej lepianki, aby nie widzieć mogiły, z której mówił do niej groźny głos ojca.

Tumry, gdy go opanowała tęsknota wylatywał ze swęj chaty, i z włosem rozwianym, z nagą pierśią biegł gdzie go oczy poniosły. Czasem wpadł w las i pędził zaroślami, gęstwina, aż się znużył do upadłego; jak koń, co się wyrwie ze stajni na swobodę i hasa choćby się miał rozbić; to znów przerzynał góry i lasy bezwładnym biegiem, aż się gdzieś oparł o staw, o rzekę, o jar, i upadł na ziemię cały drżący i bezsilny.

Wśród tego ruchu szalonego, który nim miotał jak nieprzytomnym, nieraz w milczącym powietrzu obila się pieśń cygańska, nieraz łzę niepojętą poniosły wiatry w stronę przeciwną, i śmiech dziki zawarczał z ich szumem. A choroba ta w obojgu rosła i rosła olbrzymio! W początku byłato tylko tęsknota chwilowa, którą lada wrażenie rozpędzić mogło; później stała się codziennym pokarmem prawie, wreszcie robakiem, który pożerał dniem i nocą.

Często dni całe nie przemówili do siebie słowa: cygan jak zwierz w klatce kołował po izbie, Motruna patrzyła na ścianę, przez którą widać było jak na dłoni wioskę, i we wsi chatę, starego Kasztana, Burka, kury, parę gołębi i ciche podwórko ze staruszką gruszą....

Po smutnej jesieni przyszła zima szybko, a taka straszna w swym białym całunie, taka mrożąca do kości! W lepiance zrobiło się chłodno, i poczęły świecić szpary, przez które wiatr wlatując, wygrywał zawczasu dzikimi tony złowrogą pieśń spustoszenia. Tumry lepił, otykał, pracował znowu; ale na wysokim wzgórzu i deszcze, i wiatry silniej się niż gdzieindziej czuć dawały, i pierwsze mrozy przejęły ich do kości. Napróżno rozpalono ognisko do którego każdą zgniłą gałąź i spruchniałe polano musiał na plecach cygan przynosić; kwaśny dym tylko wyjadał im oczy, a ciepło uciekało szparami!

Były dnie, że śnieg zawiął ich całkiem, to znowu woda z niego zalała sień i izbę; a gdy po wodę z góry iść przyszło, Motruna padała na ścieżce lodem pokrytej.

Chleb i grosz ciągnęły się jeszcze, ale już były u schyłku; i dnia jednego wyniósłszy resztki mąki, upiekłszy podpłomyk zamiast chleba: Motruna załamała ręce nad bodnią prózną jak przepaść.... Tumry już wprzód zajrzał był do niej, i widział, że węzelek chusty, w którym ostatni grosz się mieścił, pusty, rozplątany, wiśiał na kołku w alkierzyku....

A kuźni nie było, i roboty nie było, i ze wsi ani głosu żywego.

Jednego wieczora, gdy oboje drżeli od zimna, cygan westchnął głęboko i długie przerwał milczenie:

— No! Motruno! — rzekł — już chleba nie ma, a *mandru* sam nie przyjdzie. Myślałem ja długo; nie ma rady, trzeba pójść i za lichy grosz robić młotem w drugiej wiosce.... A jak ty tu sama zostaniesz?

Motruna poczęła się bawić końcem fartucha, spuściwszy oczy w ziemię.

— Zostanę — rzekła, — zostanę: będę pilnować chaty i ciebie wyglądać...

— Ja taki przyjdę choć raz w tydzień, co niedziela, i chleba lub grosza przyniosę.. ale iść potrzeba...

— Może też we wsi choć prząść mię kto weźmie — cicho odezwała się kobiéta.

— Nie! nie! — zawołał Tumry — darmo i nie probować, ani darmo prosić! Nie chcę ich łaski: obejdziemy się jeszcze bez niej.

— No! to się obejdziemy — odpowiedziała Motruna — będę siedzieć w chacie.

— Ale sama, sama jedna naprzeciwko cmentarza!

Gdy przyjdzie noc, wytrwaszże ty ze strachu, kiedy
mie nieraz, gdy wiatr poświśnie, ciarki po plecach
przechodzą?

Motruna wstrząsła się cała.

— Wyżyję— rzekła smutnie— a jakbym i umarła,
to ci lżej będzie. Pochować, taki bracia pochowają
przez litość; do mogiły nieść niedaleko, a ty puj-
dziesz w świat znowu.

— Cicho! cicho!— krzyknął cygan, — nie mów mi
tego! Tylko tę zimę przeżyć; a nie postawię kuźni,
to chatę podpale i pójdziemy w świat...

— A! ale ta zima taka długa!

— A! długa Motruno! ale i życie długie, a prze-
żyć je trzeba! Ale kto ci tu wody nosić pomoże,
drew przysposobi, i choć słowo do ciebie prze-
mówi?

Motruna nie odpowiedziała ani słowa; a że ogień
wygasł i nie było go czém podpalić, ustała rozmo-
wa, i dymy obojga poszły przebijając ciemności,
każda w swoją stronę.

Nazajutrz rano Tumry mimo chłodu i zamieci,
z myślą jakąś wybiegł z chaty i skierował się ku
wiosce, jakby szukał kogo, jakby chciał napatrzeć.
Ale we wsi było pusto, że ledwie człowiek worem

okryty, lub kobieta ze spódnica narzuconą na głowę, przesunęli się przez ulicę; i tylko dym na słotę włókł się i szarą mgłę rozpościerał nad czarnymi dachami Stawiska.

Tumry do południa chodził po za stodołami, po drodze, po brzegu lasu, i z niczém, zmokły powrócił; tylko oberemek suchych gałęzi przydzwigał do domu i milczący siadł w kącie. Motruna rozpaliła ogień, a cygan po krótkim spoczynku wybiegł znowu. Trochę się było wypogodziło, wiatr chmury rozpędził, i kawałkami sine na mróz zaczęło pokazywać się niebo. Tumry błędził wciąż koło wioski. Już zmierzchało, kiedy się z głupim Jankiem spotkali.

Janek szedł dźwigając wór z młyna, bo na taki czas i błoto żałowano wołów, i bracia go posłali, żeby chudoby zaoszczędzić. Aż przykro patrzeć było, jak skulony biedny potwór pod ciężarem woru uginając się, brnął boso w zamarzającym błocie. Ale gdy go Tumry pozdrowił, gdy podniósł żółtą twarz swoją, nie znać na niej było tego wyrazu męki i znużenia, jakiego się na niej spodziewać było można. Owszem uśmiech latał na wargach skrzywionych, i oczy błyszczały swobodnie.

— A dokądto Janku?—spytał cygan — ja cały dzień szukam ciebie i znaleźć nie mogę.

— Boś źle szukał, cyganku kochanie — odparł stawiając wór na kamieniu Janek — było mnie szukać gdzie ciecze, gdzie biją, gdzie mokro, gdzie chłodno i głodno, tobyś mnie pewnie znalazł.

— E! — dziko się rozśmiał Tumry — taką rzeczą powinienem cię być znaleźć u siebie, nie szukając i nie ruszając się z miejsca, bo u nas to wszystko w chacie.

— Cha! cha! i głód?—spytał Janek.

— O! i nie dziś... bo już chwała Bogu i chleba nie stało.

— Cha! cha! — rozśmiał się Janek po swojemu, chuchając w skostniałe ręce. — No! a cóż będzie?

— Słuchaj Janku, jak ty nie pomożesz, to zginiemy!

Mały człowieczyna aż się za boki porwał od śmiechu, gdy to usłyszał.

— Aj! aj! daruj życie—zawołał—dalibóg umrę ze śmiechu, kiedyto i głupi Janek ma się zdać na coś na świecie, oprócz rąbania drzew i noszenia worów z młynów po błocie!

— Ratuj Janku, poczwiwa duszo!—rzekł Tumry—
a nie, to poginiemy.

— Oj! oj! mucha prosi komara, żeby ją ratował!
Dalibóg pękne! dalibóg pękne!

— Chleba nie ma—rzekł cygan—mąki ani odrobinki, pieniędzy ani grosza...

— No! no! dawno ja się tego spodziewałem; a co dalej?

— Trzeba iść zarabiać gdzieindziej, a Motrunę samą porzucić!

— A dokąd pójdziesz?

— Do kowala, do Rudni...

— I zarobisz? co ty tam zarobisz?

— A choćby bułkę chleba na tydzień; ale co zrobić z Motruną!

— A co, cyganie braciszku, to i ją weź z sobą.

— Nie przyjmą nas we dwoje.

— A cóż będzie?—śmiejąc się, ale litościwie spytał głupi Janek—i co ja to mam robić?

— Gdybyś ty był taki jak ja myślę—rzekł cygan otwarcie—tobyś choć polano drzewa przyniósł czasem Motrunie, a pod noc tobyś mógł na chatę naglądać; niechby miała do kogo choć słowo przemówić.

Janek się zadumał, pokiwał głową i począł się bić po piersiach rękami długimi, wywołując tym ruchem trochę ciepła. Zdawało się, że ani myśli o czém mu Tumry mówi, a z pod przymrużonej powieki sączyła się łza: może wyciśnięta przymrozkiem wieczornym. A! bo też ledwie Iachman miał Janek na sobie, i nogi bose, i słomiany, dziurawy, ze śmieciska gdzieś zdjęty kapelusz na głowie.

— Cha! cha! — rzekł w końcu — a jak ja ci żonkę zbałamucę? A to się tego nie boisz, cyganie kochanku; taki piękny mężczyzna jak ja, to niebezpieczna sprawa.

— Ej! ciebie się żarty trzymają, a mnie się serce kraje! — zawołał cygan. — Ratuj kiedy możesz, a nie szydź z nędzy!

— Oj! oj! co ja wam poradzę! Poprobuję co zdołam, ale niedaleko wy ze mną zajedziecie! niedaleko! A ty myślisz, cyganku kochanie, że mnie to tak łatwo swoją chatę porzucić i pójść do was na służbę za miarkę powietrza? Myślisz, że to mnie u panów braci niedobrze! A to ja się tam wylegam czasem nawet w izbie, a bywa i na ławie pod piecem! I taki szmat mi na plecy dają, i odzienie niczego, i poczęstują codzien kufakiem, żebym nie zapomniał,

że mam plecy... A jak raz do ciebie pójde na parobka, już gdybym wrócił kiedy do nich, wyszczują mnie psami, stary indyk nawet oczy mi wydrapie... Ot taki wóz lub przewóz; a jak zechcę co dla was zrobić, panów braci potrzeba będzie pożegnać.

Cygan milczał.

— Czy ci to tam tak dobrze? — zapytał.

— Cha! cha! cyganku kochanie, albo mi to u was będzie lepiej, myślisz? Od swojej doli się nie wykreścić: człowiek ją na plecach nosi, i żeby się jak trząsł, to jej nie zrzuci. A swoja chata, to taki swoja chata, cyganku serce moje; ty tego nie znasz, ale do niej jakby za nogę przywiązał! Jam się bo tam urodził. O! — dodał ciszej spuszcżając głowę — i tam miałem matkę....

Ten wyraz wybiegł mu z ust ledwie dosłyszany, a za nim westchnienie, a za niem łza, i głupi Janek stał się nagle poważnym.

— Słuchajno — rzekł inaczéj już i głos zmieniając — ja chaty dla was opuścić nie mogę, bo w niej chcę umrzeć, a gdybym raz przestał im służyć jak wół, nigdyby mnie już nie puscili do niej; ale na to jest rada.

— A jakaż rada?

— Będę i im, i wam służył. Prawda nabiją mnie trochę więcej, ale moja skóra twarda! Nocką pójdę chaty pilnować, ale nie wprzód aż się u nas pośpią, i powracać będę o drugich kurach. A żeby nie spostrzegli, że się wałęsam, będę już spał w plewniku, choćbym zmarzył.

— Ależto zima! nie wytrwasz!

— Już ja wiem, co ja wytrwać mogę!—kiwając głową rzekł Janek.—To moja sprawa. Polano drew i czasami suchy chleba mego okrawek przyniosę Motrunie.... Bądź spokojny, idź do Rudni, idź cygan-ku, tylko wszystko mi strach, żeby ci żony nie zbałamucił!

I znowu się śmiać począł głupawo a szydersko.

— Niech ci *Mroden-oro* płaci— zawołał cygan.

— Chyba że ten ktoś, bo że nie wy mi zapłacicie za służbę, to pewna — rozśmiał się Janek.—I ja też taki bogaty, że płacy nie potrzebuje; ot widzisz, że wam się na coś przydałem i dobrodziejem jeszcze będę! A! gwałt! ratujcie, głupi Janek dobrodziejem! Umrę ze śmiechu....

To mówiąc pochwycił wór lekko i żwawo, i nie odwracając się do cygana, kilka kroków z nim podskakując zrobił, i obejrzał się.

— Cyganku kochanie — zawołał — już ty mi bądź spokojny, Janek nie da nic wam złego zrobić, i co powiedział, to dotrzyma. O! Janek wielki pan! cha! cha! Janek dobrodziej!

I na całe gardło śpiewać począł, wlokąc się dalej samym środkiem ulicy i błota, ku chacie swojej.

Cygan zadumany poszedł napowrót ku cmentarzysku, i spokojniejszy nieco począł się zbierać do drogi.

— Jużem tobie tu Janku mówił — rzekł do Motruny — że ci służyć będzie. Na całą wieś jedna dusza poczciwa, i to w takim kadłubie, że gdyby ję kto sto lat szukał, w nimby się niedomyślił. Janek ci drew przyniesie i w nocy pilnować będzie; ale jutro jak świt iść trzeba.....

Całą noc płakali, a pożegnanie jak śmierć smutne było; jednak Motruna myślała: gdy jego nie będzie, to choć spróbuję na wioskę wybiedz trochę.... a Tumry jakoś żywo dumał, że nową wieś i nowych ludzi zobaczy. Ale gdy u progu podali sobie ręce skostniałe i spojrzeli na twarze zbladłe, na oczy zapadnięte i wypłakane, na drżące i sine usta, gdy przyszło się rozstać jakby ich co przykuło, rozejść

się nie mogli, i ani Motruna wrócić do izby, ani cygan wyruszyć w drogę.

Tumry wreszcie pierwszy pocałował ją w czoło, podniósł kij i skoczył na gościniec tak prędko, jakby go kto gonił.

Boć goniła go troska, zgryzota, niepokój i nędza, których połowę zostawił Motrunie, a pół wziął do torby podróżnej.

Zdawało mu się, że staje tak ubiegł z oczyma zamkniętymi. Podniósł głowę, spojrzał i zadrżał wprost sama jedna z całego cmentarza pokrytego śniegiem żółciała mogiła Lepiuka, a na jej krzyżu siedział kruk czarny, przekręcał głowę i krakał.

Motruna została sama w chacie, a gdy po odejściu męża weszła do środka, ścisnęło się jój serce na myśl, że już nierychło ujrzy jedyne go swego opiekuna. Potrzeba było samej sobie wystarczyć rękami, głową i sercem; karmić się, by nie umrzeć z głodu, karmić, by nie zginać z nudy i strapienia.

A w chacie tak było pusto, tak pusto. Prócz kilku wróbli, które już przy nowój lepiance zajęły sobie w strzesze mieszkanie i świergotały przerywając milczenie, żywego niespostrzegł stworzenia: ni psa, ni kota, ni kury, coby szczebiotała w sieni, ni gołębi na dachu, ni głosu krówki z obórki, ni żadnego z tych towarzyszków pracowitego wieśniaczego życia, z któremi jakoś weselej.

Cały dzień ten zszedł na płaczu; nie zapaliła nawet ognia, i przesiedziała w kącie izby na garści słomy, obwinięta kozuchem i switą, nie poczuwszy że marznie i kostnieje. Mrok padał, gdy kroki dały się słyszeć koło chatki; ktoś zaszemrał w sieni, zrzucono brzemie drzewek i głowa Janka pokazała się przez drzwi wpół otwarte.

— Dobry wieczór, gosposiu — odezwał się doń wesoło — Ot i ja, wasz stróż i parobek! A co u was i ognia nawet nie ma w piecu!

— A! Bóg ci zapłać — odpowiedziała Motrna — Bóg zapłać żeś przyszedł, bo pod noc straszno mi się robić zaczynało. Nie rozpalałam ognia, bo mi się już nie chciało, a zimna nie czułam.

— No, to ja go rozpalę — rzekł wchodząc głupi Janek — z ogniem, to jakoś weselej! Przyniosłem

także trochę kartofli, bułkę chleba i co tam mogłem znaleźć, bo podobno zapasu nie macie. — To mówiąc złożył na ławie swój węzełek, zgromadził gałęzie i trzaski, dobył ognia, i jak najlepsza gospodyni zajął się około pieca.

— Oj! coś-bo u was — rzekł rozglądając się po garnkach — strasznie jakoś gospodarstwo kulawe. Motruno! coto się tobie stało? A toż bywało chwalili na całą wieś, że z ciebie taka doskonała gospodyni.

— E! Janku — szepnęła kobieta wzdychając — było gospodarstwo, gdy było na czém gospodarzyć a teraz!

— Ale bo to niesztuka — odparł śmiejąc się i jękając Janek, który się krzątał przy piecu — nie sztuka gospodarzyć, gdy jest na czém; ale jak nie ma [z czego, a dlatego i ład jest i ciągnie się.....

— Wiecie, jaka nasza dola: mnie już ręce opadły.

— To źle! cha! cha! to bardzo źle, Motrunko! Jak wy sobie pozwolicie, to i mąż nie da rady domowi.

— Ani on ani ja; ... zginąć nam podobno!.....

— Aj, żebyżto człowiek tak mógł zginąć gdy ze-

chce, i gdy mu źle ustąpić się; ale to biéda, że chudy pies najdłużej żyje: — nie zabiją go dla skóry..

Mówił, garnki pomywał, wodę nastawiał, a niekiedy rozglądał się po chatce i okiem rzucił na Motrune siedzącą w kącie i odrętwioną.

— A ot i nowiny mamy — rzekł po chwili. — Wy nic widzę nie wiecie, co się na wsi i we dworze dzieje, kiedy się mnie nie pytacie nawet!

— Tak mi z tém, jak bez tego! — odpowiedziała obojętnie kobiéta.

— A może i niebardzo! — przerwał Janek — wszakto pozawczoraj jeszcze nasz pan z za morza powrócił!!!

— Pan powrócił! a pani? — poruszając się z miejsca zawołała kobiéta.

— Poczekajcie! — rzekł Janek — ot zaraz wam powiem jak to było. Trzeba wam wiedzieć, że mnie nigdy na pańszczyznę nie posyłają, bo ekonom takięgoby cherlaka nie przyjął, chyba za dziecko lub babę. Głupi ekonom! nie wie, że ja za dwóch zrobię, choć i na pół człowieka nie wyglądam! Wczoraj posłali mnie za bratową do młockarni... Otóż wszystkiego się dowiedziałem; byle uszy, to się jest

czego we dworze nasłuchać gotuje się jak w garnku!

Zaciekawiona Motruna wstała i zbliżywszy się do pieca na którym palił się ogień, usiadła naprzyzbie. Janek wieczerzę gotował.

— Wójt, gumieny, ekonom i cała gromada nic nie robili — kończył — tylko gadali a gadali o panu, który powrócił.

— Czemużeś ty Tumremu o tém nie powiedział? — spytała Motruna.

— Myślałem, że wie! — rzekł Janek.

— My tu jak na pustyni! — zawołała kobieta — co my tu wiedzieć możemy; chyba kto umrze we wsi, jak na cmentarz przywiozą! Ale cóż tam mówili?

— Ot zaraz — coraz się rozgadując mówił parobek — bo naprzód trzeba wiedzieć, że pani umarła gdzieś daleko, i jegomość sam, słyszę, powrócił.

— Umarła! — krzyknęła z żalem w ręce uderzając Motruna. — Ach! ja nieszczęśliwa!

— No! no! nie lamentujcie, bo może i Harasymowicza się zbędziemy — rzekł Janek — to lichy dokuczliwe... Pan, słyszę, jak pojechał żółty, blade i słabeńki, tak i powrócił nielepij. Nic tam jeszcze doktory nie pomogli. Zaraz, słyszę, jak tylko na próg

dworu stąpił, kazał zawołać kapitana, i coś jemu takiego powiedział, że kapitan poleciał do oficyny i pakować się kazał.... Mówią, że ma wyjechać.... Czegoś się kłócili, i jegomość mu jakieś papiery rzucił w twarz..... Ot co ludzie gadają, a dziś gromada hurmem idzie do dworu ze skargą na Harasymowicza.

— A cała nadzieja była w pani—westchnęła Motruna. — Jój nie ma, umarła i ta biedniaczka!

— Prawda, że to ona was pożeniła — rzekł Janek — musicie jój żałować, i krowę wam dała. — Hm! ale nie macie za co jój dziękować, że wam do biedy dopomogła. Byłaby was dola wasza nie minęła..... A i pan niezły, gdyby tylko nie lenstwo że mu się czasem do człowieka gęby otworzyć nie chce..... Moglibyście pójść do niego....

— To darmo!—cicho odpowiedziała Motruna—to darmo!

Janek spojrział na nią, ruszył trochę ramionami, i począł łamać gałęzie u progu, przygotowując je do utrzymania ognia.

— Mnie trzeba będzie iść — rzekł — ale na chatę zdaleka naglądać będę. Macie tu gałęzie i łuczywo, świećcie sobie póki nie zaśniecie... I żebyście chcie-

li dobrej rady posłuchać, tobyście tak rąk nie opuszczali... Jak człek się kręci, to mu na sercu lżej jakoś... Dobranoc Motruno!... Ja tu niedaleko prze-
nocuję...

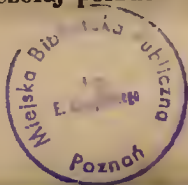
Motruna znowu spuściwszy głowę nic nie odpowiedziała Jankowi i zapatrzyła się w palający ogień, który dwie łzy toczące się po jej twarzy oświecił... Żegnała niemi kobietę, której fantazya więcej niż serce związała ją na wieki z losem cygana.

— I ona umarła! — mówiła w duchu. — Czasem mi na myśl przychodziło, że powróci, że pomoże, że się choć ona ulituje... Bóg ją wziął, żeby i tę nadzieję nam zabrać.

W takich myślach, dając wygasnąć ogniewi i pozastygać garnkom, biedna żona cygana przetrwała do późna: wśród ciszy nocnej słysząc już było trzecie kogutów pianie na wsi, gdy sen powieki jej zmrużył.

Ze dniem zjawił się znowu Janek, który poleciał był do swojej chaty „pokazać się braciom i wrócił dopomódz Motrunie ogień naniecić.

Zdziwił się spostrzegłszy ją uśpioną na tém miejscu, w którym wczoraj porzucił z wieczora: ogień



niepoprawiony, nie zgarnięty, a garnki ostygłe i nie-
tknięte.

Skrzyp drzwi przebudził kobietę, a płomień ogniska oprzytomnił znurzoną.

— E! e! Motruno kochanie! — odezwał się Janek po swojemu — coś ty mi się nie poprawiasz, nic z ciebie nie będzie! Jaka z ciebie gospodyni drzémac pod piecem. I wieczery nie jadła, i obiadu gotować nie myśli. Ja za ciebie wszystkiego zrobić nie mogę; rusz się i sama!

— Do czego? — spytała kobieta — do pustych bodni i porozsychanego naczynia?

— A czemu bodnie puste? — spytał Janek — to ty winna! Czemu naczynie się porozsychało? nie przez kogo tylko przez ciebie!

— Przemnie!

— Dawniej bywało — mówił głupi Janek — Motruna i za cygana i za siebie pracowała: wodę nosiła, chatę lepiła, krzątała się, aż miło; jam nieraz zdaleka patrzył. Teraz ją ani napędzić! Wstyd! wstyd!

— Coś ty mnie łajesz, Janku?

— A muszę, Motrunko kochanie — odpowiedział, wciąż się krzątając koło chaty parobek — bo mnie za ciebie wstyd! Piękna z ciebie żona i gospodyni!

W chacie nie umieciono, na piecu węgle zgasły, garnki brudne! Coś miała cyganowi pomagać, to mu będziesz ciężać! Wstawaj do roboty!

Jakoż tak szczęśliwie i śmiało przemówił Janek, że Motruna chwyciła się przecież z ławy i pobiegła do ognia; on się roześmiał i zniknął.

— Doprawdy — mówiła w duchu kobieta — może głupi Janek i prawdę mówi: co ja wysiedzę pod piecem!

Wtém zaszczębiotało coś i zaskomlało w sieni.

— A toż co? — stając zapytała kobieta i serce jej zabiło, choć na głos zwierzęcy tylko, bo i tego tak dawno niesłyszała, a tak się jej żywo przypomniała chata rodzinna!

— Wszakcito kura gdacze w sieni i cośskomli! — Otworzyła drzwi przyświecając łuczywem.

Sionka była od podwórza zamknięta, a po niej zwijała się para kurek ślicznych, i młody żwawy kogucik, który spostrzegłszy światło, wbiegł na próg, strzepnął skrzydłami i zaśpiewał. Motrunie aż serce zabiło.

— A mój Boże! — zawołała — czubaty! czubate! i jakież śliczne!

Tuż pod progiem leżało kilkodniowe szczenię,

skomląc, pełzając i nie mogąc przeleźć przez próg, który na jego nóżki był zawysoki.

— I pies! a! to będzie Kasztan! krzyknęła, chwytając na ręce rudego pieska, który pisał ze strachu. — Pocziwy Janek! a niechże mu Bóg płaci. Ukradł chyba gdzieś dla mnie szczeniaka i te kury, boby mu ich w chacie nie dali.

Kury tymczasem wszystkie powskakiwały do izby i poczęły już rozpatrywać się w nowém mieszkaniu rozbiegając się po kątach, a Motruna oczyma chodziła za niemi:

— Jakież śliczne, jakież tłusciuchne! jakie wesołe! — wołała wesoło latając za niemi z psem na ręku. — Wychowam Kasztana na stróża naszej chaty a z kur!...

Zamyśliła się.

— Ale czémże je będę karmić?!

Zasmuciła się tą uwagą biedna Motruna; wistocie, ani na śmietniku ubogiej lepianki, ani w izbie nagiej i pustej, kurze nawet nie było się czém pożywić, tak każde ziarnko i pyłek były tu drogie. Poczęła rzucać oczyma po kątach, jakby szukała pożywienia dla swojego nowego gospodarstwa, i do-

piéro spostrzegła węzełki, które poprzynosił z sobą Janek.

Było tam nawet trochę dla drobiu pośladu, a Motruna co najspieszniej posypała go na podłogę. Myśląc także o jedzeniu dla szczenięcia, znalazła chleb a na widok jego obudził się i w niej głód, przytłumiony smutném odrętwieniem.

Tak staraniem pocziwego Janka, który się już nie pokazał przez dzień cały, Motruna miała zajęcie, towarzyszków, głos, który ją budził, i jakiś nowy żywioł w życiu, pełném dotąd dni jednostajnie grobowych.

Głupi Janek dumny opieką mu powierzoną, pracował za czterech, żeby wszystkiemu zaradzić, a w domu nie dać poznać swych wycieczek do cmentarza; bo jakkolwiek mało mógł korzystać od swoich dla Motruny, zawsze cokolwiek przynajmniej tajemnie jęj ztąd przynosił. Nie wzdygał się też wcale ukraść, i nie pojmował żeby co złego czynił, biorąc kawałek chleba, trochę strawy, warzywa, lub kilka

kur dla żony cygana. Wszystko to, czém z bogacał jęj lepiankę, prawdę powiedziawszy, aż do szczenięcia, kradzioném było; ale tak zręcznie, że się nikt nie domyślał złodzieja. Janek sam potém wysyłany na zwiady, szukał po wiosce tego, co pochwycił, i wieczorem doskonale braci i siostry oszukiwał opowiadaniem o wszystkich kurach sąsiedzkich i kurnikach, które zwiedzał. Co się tyczy szczenięcia, to, zdaniem jego, żałoczne jakieś stworzenie bednarza pożreć miało: a że najmniej dbano o psa, niebardzo się téż zniknieniem jego kłopotano.

Z największą usilnością głupi Janek ledwie mógł dniem i nocą wystarczyć na dwie chaty oddalone od siebie; ale się rozdzielał jak mógł, i o siebie nie dbał. W domu zrzucano na niego najcięższą pracę, którą że na pozór leniwie odbywał, stawało mu czasu na dobieżenie do cmentarza i najrzenia na chatę cygana. Motruna nie miała potrzeby ani po wodę chodzić, ani o drwach myśleć, ani się chlebem kłopotać; dla nięj jednę, kur i szczenięcia było dosyć:

W niedzielę rano nadbiegł Tumry wybladły, żółty, zasmolony, z oszczędzonym chlebem i kilka

groszami w węzełku i zdziwił się widząc Motrunę weselszą, witającą go w progu i chwalcą się bogactwem swojego podwórka, a nawet psem, który już szczekać i burczeć poczynił.

Łzy zakręciły się w oczach cygana, gdy mu żona opowiadać zaczęła o Janku; ale się razem zafrasował myśląc, z kąd to wszystko biedny karzeł mógł dostać.

— Ani chybi, musiał *ciurawa* (kraść) — rzekł w duchu. Pocziwy *ciurachan!* (złodziej), ale nuż złodziejstwo się odkryje? Jego nie posądzą nawet, a na nas bięda spadnie!

Nie śmiał jednak powiedzieć tego Motrunie, która tak się cieszyła gospodarstwem swoim, że i cygan przy niej poweselał.

— A wiesz — rzekła po chwili — wszakto i nasz pan powrócił i kapitana słyszę wypędził, a nasza pocziwa pani umarła!

— Trzeba iść do dworu! — zawołał, nietyłe zważając na śmierć pani, co na powrót pana, cały sobą zajęty cygan — może nam co pomoże!?

— Takto i Janek radzi! — dodała Motruna — ale ty pana nie znasz! Przystąpić do niego trudno: kil-

ka dni chodzić trzeba, nim słowo przemówi, a taki chory, taki śpiący, że sam nie pomyśli o człowieku....

Ha! spróbuję — rzekł Tumry.

Jakoż z południa, odmywszy się trochę cygan, nie bez obawy powlókł się do dworu.

Ale tu przyszedłszy w dziedziniec, opędziwszy się psom, które na niego zajadłe ujadły, potrzeba było stanąć opodal od ganku, i czekać zmiłowania losu i ludzi. Chodziliśludzy, mijali, żaden nie spojrział; któryś spytał i ręką kiwnął, drugi rzucił słowo że pan nie ma czasu, a cygan stać i stać musiał. Nie miał on jeszcze wprawy częściej do dworu chodzących ludzi, którzy umieją podsunąć się pod okno, zakaszleć gdzie pode drzwiami, i znudzić tak samą cierpliwością swoją, że ich nareszcie albo z niczém odprawiają, albo do sieni wpuszczają. Szczęściem dla Tumrego, pan Adam spojrział ziewając przez szybę, i dostrzegł chmurną, uderzającą wyrazem twarzy i smutkiem postać cygana, który sparłszy się o drzewo z oczyma w ziemię wlepionemi, jak zdrętwiały czekał co los postanowi, sam sobie radzić nie śmiejąc.

Pan Adam nudził się znowu jak dawniej. Wyje-

chał był z żoną za granicę leczyć wyżycie się swoje, ale nigdzie dłużej nad kilka tygodni bez ziewania nie wysiedział. Francuzka szalała ciągnąc go jak przykutego niewolnika za sobą, a on niecierpliwił się tylko, lub zastygły śmiertelnie nudził. Los tak chciał, że to małżeństwo, które przypadek skojarzył, prędzej niż się spodziewać było można, zerwać się miało; pani Leroux, późniejsza pani Adamowa, zaziębiła się wychodząc z balu wśród tłumu adoratorów, których jęj nigdzie nie brakło, wpadła w suchoty i umarła.

Wypadek ten przerwał monotonię żywota Adama chwilą prawdziwój rozpacz, bo zrazu zdawało się, że pójdzie za żoną: tak się był do nięj przywiązał, tak strata jęj wielkie na nim uczyniła wrażenie; ale gdy karmiąc żal swój, po kilku tygodniach pan Adam począł szykować pozostałe po żonie pamiątki, wpadł na jęj papiery, i te z żalu w gniew i rozdrażnienie go wrzuciły. Tyle tam znalazł miłosnych bilecików, tyle dowodów oszukaństwa, tyle szyderstwa z siebie, że przy najgorętszėj chęci zaślepienia się, musiał ze wżgardą pamięć tēj kobiety, która z zimną krwią urągała się jego sercu, odepchnąć. Powrócił do kraju i dawnego życia swoje-

go, a na wstępie znalezione listy kapitana Harasymowicza, rzucił mu w oczy, dając odprawę. Kapitan próbował pomimo tego ostać się w Stawisku, korzystając ze słabości Adama, bo mu zarząd majątkiem i życiem cudzém bardzo były dogodne; ale się nie udało. Adam wysłuchawszy skarg gromady, które dodały jeszcze gniewu, wyprawił w kilka dni dawnego faworyta swój żony.

Znowu więc dwór w Stawisku stał pustką, zamieszkaną przez najstraszniejszą ze wszystkich nud—nudę z życia, wyczerpania, bezsilności. Adamowi nic na świecie nie smakowało, nic go rozerwać nie mogło; konie, psy, ludzie, zarówno mu byli obojętni. Całe dni spędzał w pół-senném dumaniu sybaryty, który przemyśla czémby się potrafił rozbudzić. Przychodziły mu dzikie zachcenia Neronów i Kaligulów, i wzdychał żałując, że dla rozrywki nie mógł spalić Rzymu, by pieśnią pogorzelisko jego uczcić; lub ożenić się z koniem i ubóstwiać bydlę, a lud co go czcić będzie, zbydlęcić....

Ludzie jego nie mogli dać rady zdziwczającemu tak osobliwszemi chęciami, i niespodziewanemi miotał się gniewami. Były dni łagodności i dobroci bezsilnej, w których się wszystkim powodować da-

wał z uśmiechem obojętnym; w innych rzucał się, rozpalał, bił i wściekał bez przyczyny. Po namiętnym wybuchu, następowały dni całe apaty, milczenia, nieruchomości, przerywane potém wulkanicznemi, niespodziewanemi wybrykami. Niekiedy przypuszczał sługi niemal do poufałości, słuchał opowiadań, zdawał się zajmować losem; a nazajutrz karmił nie tylko słowo, ale ruch i szelest, który go podrażnił.

Takim był pan Adam pomimo swęj młodości, zniszczony rozpieszczeniem, próżnowaniem i bezczynnością umysłową. Szczęściem dla cygana, dzień w którym przyszedł był dobą dobroci; i pan spojrzawszy przez szybę na człowieka, który godzin kilka stał nieruchomy oczekiwaniem, począł jakoś swoją nędzną dolę porównywać do jego doli.

— Słota, chłód! jak ten człowiek wytrwać tak może! Musi mieć bardzo coś pilnego, kiedy tak stoi upornie.

Jeszcze z pół godziny przechadzał się pan Adam po pokoju, coraz to poglądając przez okno na cygana i obserwując go, jakby naturalista studyował robaka; jakoś go to zajmowało, nie spieszył się więc z przywołaniem zagadki. Nareszcie, gdy się

już zmierzchać zaczynało, a Tumry jeszcze się nie ruszył, posłał człowieka, aby go zawołał do przedpokoju.

Tu pan zasiadł z fajką w podaném krześle, i począł się bawić przybyłym.

— Słuchajno! — rzekł — coś ty za jeden, i czego mi tu stoisz przed oknami?

— Jestem kowal — odparł Tumry — cygan — dodał ciszej.

— A! a! przypominam coś sobie: jakaś historia, ożenienie!.... moja żona.... Co to było?

Cygan, któremu się w głowie pomieścić nie mogło, żeby kto dotkliwej jego nędzy zapomniał, spojrział na ziewające paniątko wielkimi oczyma.

— Mówże mi to — dodał Adam — od początku, bo nic nie pamiętam.

Cyganowi niełatwo było się wytłumaczyć i dla zbytku rozdrażnienia, i dla niepokoju, jakim go ten zastygły pan przejmował, zdający się nic nie czuć i nic nie pamiętać; zebrał się wreszcie na historję swoją, a pan Adam wysłuchał ją nie przerwawszy słowem.

Pomimo że w opowiadaniu był tylko skielet ciężkiego losu młodej pary, że z niego niepodobna było

pojąć co ucierpiała; paniątko zdawało się zajmować kowalem!

— Śmieszna była myśl mojej żony, rzekł w duchu, pożenić ich, psa z kotem, i wystawić na prześladowanie wioski. Cygan byłby poszedł dalej, a dziewczynę we wsi wydaliby za mąż; a tak! co tu poradzić?

— Czegóż ty chcesz?— spytał cygana po chwili namysłu—kazać żeby cię kochali, nie mogę; a z gromadą sprawa trudna gdy się zatnie! Nie lepiej żebyś się przeniósł gdzieindziej?

— Dokąd i o czém?— spytał cygan.—Postawiłem już chatę, dość tu mojego potu na tej ziemi; żonie i nie pora i nie siła rzucać wieś, w której się urodziła i do której przywykła.... Gdyby mi trochę pomocy, gdyby siaka taka kuzienka, ludzieby taki przyjąć do niej musieli: wprzód obcy, potem swoi.

Pan Adam się uśmiechnął, pokiwał głową.

— Probój kiedy chcesz— rzekł obojętnie— ja ci pomódz, pomogę, ale wiem że to darmo.

To mówiąc dobył grosza z kieszeni, wyliczył złotych kilkadziesiąt, i rzucił je na stół; ale z taką wzgardą, tak jakoś niechętnie i bez serca, że ten dobry jego uczynek ledwie nie oburzył cygana.

Musiał jednak przyjąć datek, i opłaciwszy go jeszcze rozmową, z której pan Adam wyciągnął trochę rozrywki, poszedł weselszy do chaty.

— Muszę też kiedy pojechać zobaczyć tę chatę za wsią, o której mi podobno i ludzie już wspominali — rzekł w duchu; ma to być doprawdy ciekawość! Szczęśliwi ludzie, jak im się chce żyć, jak im niewiele potrzeba.

I ziewać począł znowu, na inny tor myśli wpadając, gdy cygan leciał już do Motruny, pocieszyć ją lepszą nadzieją. W istocie, datek pana mógł wystarczyć prawie na pobudowanie kuźni i pierwszy sprzęt do niej, gdyby się do roboty wzięto zaraz; ale zima trwała jeszcze, i nic począć nie było można.

Motrunka spostrzegłszy zdaleka męża, wyszła już przeciwko niemu, po ruchu jego poznawszy, że nie z próżnemi rękami przychodził.

Spojrzała na pieniądze i uśmiechnęła się składając ręce.

— No! cóż teraz pocniemy? — spytała....

— Muszę kuźnię postawić — rzekł Tumry — ale zima, nie pora, robić nic nie można! Jeżeli ten grosz ruszymy, na wiosnę nie będzie za co rąk zaczepić. Trzeba więc iść pracować na chleb znowu, i czekać!...

— A możeby to i na chléb i na kuźnię starczyło— przerwała Motruna, licząc oczyma pieniądze.

Cygan pokiwał głową.

— Nie—rzekł—*łowy* (pieniądze) prędko wycho-
dzą, tylko je zaczepić! Drugi raz już ich nie dosta-
niemy, a tu na warsztat, na *trast* (żelazo) i na
wszystko wiele potrzeba. Zakopimy je w chału-
pie, i musim czekać do wiosny. Wiosna niedaleko.

— Niedaleko! westchnęła Motruna: poczekamy,
poczekamy.

— A teraz jakoś i rażniej czekać będzie— odparł
cygan.— Zobaczmy co we wsi powiedzą, jak tu na
górze młot się odezwie i komin zadymi!!....

Wlokąc się tak powoli na śniegach, słotach
mrozach i odelgach, przejechała nareszcie długa
zima, a nic w lepiance pod cmentarzem nie zmieni-
ło się jeszcze. Tylko Janek, który już był przy-
wykł służyć żonie cygana i przywiązał się do nich,
bo oni jedni mówili z nim jak z człowiekiem, i ko-
chali go jak brata; przygotował zawczasu głęboki
koszyk na kołyskę, i niechcąc go jeszcze pokazy-

wać dla złej przepowiedni, przywiązawszy sznury zawiesił na strych, aby w potrzebie zdjąć go tylko.

Tumry wciąż chodził do Rudni na robotę, a że pracował z ochotą i znał rzemiosło swoje dobrze, majster się nim chętnie posługiwał, zwłaszcza że go niewiele płacił. Ludzie nawet rudeńscy śmieli się ze Stawiszczan na jarmarkach, że takiego kowala pod nosem mając, do cudzych o milę i więcej chodzą. Trafiło się, że gdy i do Rudni przyszedł kto ze Stawisk, Tumry mu posłużył wyręczając majstra samego, ale nigdy jednem słowem żaden z nich nie zaczepił cygana.

Zaledwie ziemia rozpuszczać zaczęła i zieloność się pokazała, Tumry najawszy człowieka, jął się już nie sam około kuźni żywo, bo rachował na czas roboczy, że we wsi będzie potrzeba kowala i ludzie się taki ku niemu nawrócą.

Grosz cały dany przez pana Adama, był zaledwie dostatecznym na mizerną klótkę z dachem pokrytym darniną, i kupienie co potrzebniejszych sprzętów kowalskich, niedostatecznych do lepszej roboty, ale wystarczających dla wioski, w której zrobienie podosków do wozu, okucie konia, napra-

wa naradnika, pług i zazębienie brony: są najważniejszą kowala pracą.

Mularz, który horno z kupnej cegły stawił; rzeźmieślnik, który miech zszywał, resztę pieniędzy zabrali, ale kuźnia w kilka tygodni była prawie gotową. Tymczasem jednak, nim się to wszystko wyrządziło, siejba wiosenna uciekła, a Tumry ani węgla jeszcze nie miał, ani obcęgi i młotów. Począł więc rachować biedak na kosowicę i kosy, na żniwo i sierpy, na siejbę jesienną i pługi.

Tuż, tuż zdawało się, że już gotowe wszystko że tylko zapalić węgle i stanąć do pracy; ale co chwila pokazywał się brak jeszcze czegoś najważniejszego, i trzeba było albo biedz do miasteczka albo samemu sporządzać.

Już wiosna miała się ku końcowi, gdy wreszcie uznojony Tumry, jednego dnia wszedł do chaty i padł na ławę, wołając:

— No! dzięki *Mroden-oro* — poprawił się — dzięki Bogu, kuźnia skończona, i choć jutro fartuch zapasać!

Tych słów domawiał, gdy Janek zdyszany cały wsunął się tuż za nim, i klepiąc go po ramieniu krzyknął:

— Cha! cha! wielka nowina! wielka nowina!

— A cóż ci to Janku? z czémżeś to tak przyleciał? — spytała go Motruna z uśmiechem łagodnym, bo się do biedaka serdecznie była przywiązała.

— O staję od wioski — rzekł Janek — wracając z lasu, spotkałem bandę cyganów, która się na łące rozłożyła noclegować.

Tumry wstrząsł się cały, zabełkotał coś niezrozumiale; a Motruna przestraszona instynktowo, zalamala ręce.

— Czegoż oni tu przyszli? — odezwała się — po co?

Serce jój biło sama nie wiedziała czego, i strach jakiś ogarniał; Tumry widocznie był poruszony i zniepokojony, ale usiłował udać obojętność.

— A co nam tam cyganie! — rzekł powolnie — przyszli, to i pójda przenocowawszy!

— Ale jednak pilnujno ty męża, Motruno kochanie, żeby ci go cyganie nie pochwycili jak swego — dodał głupi Janek.

— Biadato już, kiedy kogo potrzeba pilnować! — odparła kobieta

— Strzeżonego Pan Bóg strzeże — rzekł gość. — Ale mnie trzeba iść do chaty; dobranoc!

Zwrócił się i pobiegł.

Tumry i Motruna pozostali we dwoje milczący i smutni; myśl obojga leciała ku szatrze cyganów; on zwłaszcza kręcił się i chodził poizbie jakby go piekło, i chwili usiedzieć nie mógł na miejscu. Kiedy niekiedy żona rzuciła nań wzrokiem ciekawym, i wyraz jego twarzy przerażał ją. Nigdy tak jeszcze nie widziała Tumrego jak dzisiaj: wargi mu się trzęsły, oko czarne gorzało, pot lał się z czoła, nozdrza miał rozdęte a pierś podnosiła się i upadała jakby rozpęknąć miała.

Siedli do wieczerzy, ale cygan nic nie wziął w usta, wciąż chodził milczący, chmurny, wpół obłąkany. Od progu jakby uciekał; do progu jakby go co ciągnęło; zdawało się, że mu aż drży ręka by pochwycić za klamkę; ale miał siłę nad sobą.

Rzekłbyś atleta, co drze się z dzikim zwierzęciem; tak walczył z sobą i miotał się żądzą jakąś.

— Słuchajno Motruno — rzekł stojąc w pośrodku izby — *Romy* (cyganie) wszystko mi popsuć mogą. Spieszyłem z kuźnią rachując na porę roboczą, że zmusi wieś pójść do mnie, jeżeli oni tu postoją ze swoją, wszyscy zwrócą się do nich, i my przepadli.

— Za cóżby mieli ich woląć od nas? — spytała Motruna.

— Tamci im nic nie zrobili — jam dla nich winowajca!

— Ale cóż poradzić na to? — spytała kobieta, o-
czy na niego podnosząc.

— Co? — zawahał się Tumry — co, ja sam nie
wiem. Pójdę do nich i powiem, żeby szli dalej.

— Ty! ty do nich? — krzyknęła, porywając się
z siedzenia kobieta — po co? żeby cię pociągnęli,
z sobą, żebyś przepadł z ich ręki, żeby cię zabili,
otruli, oczarowali? Nie! nie! ja cię nie puszcze, i ty
nie pójdziesz!

Te słowa wyrzekła tak gwałtownie i namiętnie
rzucając mu się na szyję, że Tumry zamilkł prze-
możony odrazu jęć boleścią; ale śmiertelna bladość
twarz mu okryła, i spuścił głowę jak skazany na
ścięcie.

— No! to zginiemy, kiedy ty mi nie ufasz, Motru-
no — rzekł na pozór spokojnie.

— Ja ci ufam, ja tobie wierzę; ale im ufać nie
mogę..... Cyganie mścić się będą, żeś uszedł od
nich!...

Tumry jakoś się rozśmiał szydersko.

— Takto ty znasz cyganów! — rzekł powoli. — A za cóżby się mścić mieli? Wielużto z nich już poobsiadało na gruntach i gospodarzą na miejscu! Słyszałeś kto o zemście nad niemi!

— Ale oni czarownicy, — przerwała Motruna.

— Na czary są czary — odparł chmurząc się Tumry — a mój wzrok także za silny uchodził, bo go żadna siła nie zmogła!

Motruna, na którą spojrzał w tej chwili tym przezywającym wzrokiem, zadrżała i spuściła oczy; poczuła w istocie jakby gorące żelazo przebijało jej serce, jakby łańcuch żelazny pierś jej ścisnął, aż oddechu brakło, a w głowie kręciło się i wiło dziwacznie.

— Powiedz lepiej, że mi nie wierzysz — kończył cygan — ale nie że się o mnie obawiasz. Straszniej mi tu między twoimi, niż wpośród naszych braci *Romów*, a jednak widzisz, żeś cały i żyję.

— Ale po cóż iść do nich? — błagająco, cicho, szepnęła kobieta.

— Ażeby ich ztąd copędzjć oddalić!

Motruna nic nie odpowiedziała. Tumry na nią spojrzał, postrzegł ciche łzy, i począł znowu chodzić po izbie, tak gorączkowo i szalenie, że się zda-

wało, iż lepiankę rozwali bo bił się w niej jak w klatce!

A kłamał biedny! kłamał szalony! bo nie strach tam go do ogniska pociągnął, ale serce, ale wspomnienie: ta siła tajemnicza węzłów kolebki, łańcuchów pamięci, który chyba starość zrywa, chyba szczęście osłabia. Tumry nie miał jeszcze czasu zapomnieć swych wędrówek po świecie, ani ognistych czarnych oczu Azy, ani zapachów cygańskiej *kakabii* (kotła), ani swojej włóczęgi, pieśni, głodu, chłodu, prześladowania i zemsty!

A tak misternie wielki Stwórca złożył każde życie, że jak w owocu ziarnko, jest w niem odrobina szczęścia, jest nasionko pociechy! Boleść podnosi; głód oszala, nędza exaltuje prześladowanie spotęgowuje człowieka, i na dnie tych klęsk zawsze znajdziesz oręż, którym je zwalczyć można. Gdy cierpienie dojdzie do kresu, z niego samego wystrzela siła przeciwna, która już uczuć go nie da.

Tumry choć wiele przeboleł, teraz gdy się blizny pogoiliły, gdy nowe rany krwią mu płynęły, w życiu przeszłym widział tylko jego rokosze, barwy, zmiany i ruch, za którym tęsknił. Serce jednym słowem zburzone, parło się w stronę braci, a myśl już

kręciła się w kole czarowném wspomnień dzieciństwa.

— A nuż to oni?—pytał się w duchu siebie.— Aza, Aprasz, stara Jaga, Pehabaj, Puza; a nużto ten namiot podarty, pod którym mi tyle kropel potu na ziemię upadło? i skrzypiący werden, i koń ślepy... A! gdyby ich choć zobaczyć! Czy téż żyje żona Aprasza i dzieci! Jakbym ich widział: przypadli pod lasem pewnie w dolinie, nie śmieją iść do wioski... rozbili namiot.... Aprasz siedzi twarzą w ogniu, bo mu go nigdy nadto, żona jego milczy i dziecię kołysze, Jaga papple, chłopcy skaczą, koń się pasie na rozłogu! A! jak im tam dobrze choć chleba nie mają, jak swobodnie! Żeby ich choć zobaczyć!....

Wzrok Motruny zdawał się na wylot przebijać czaszkę cygana i czytać jego myśli; bo biedna coraz się bardziej smuciła, a Tumry corazto szalał wyraźniej.

Bóg wie tam, która była godzina nocy, gdy przy wygasającym ogniu pokładli się spać wreszcie, a cygan obwinawszy się płachtą, głowę ukrył, by nie pokazać że nie śpi.

Ciągle w nim wrzało to pragnienie przypatrzenia się choć zdala cyganom; i walka z namiętną żądzą

w człowieku, co się hamować nie umiał, wkrótce przerosła w stan prawie szaleń i gorączki. Znużenie po pracy zamykało mu oczy, a cyganie ciągnęli ku sobie; zasypiał, zdrzemywał się, budził, jęczał, i szarpiąc pierś czarną, wpadł wreszcie w stan dziwny, który nie był ani snem, ani jawą.

Wyjątkowe duszy usposobienia wyradzają często dziwne także władze w człowieku, i spotęgowują go, podnoszą kosztem całego organizmu, który się przez posłuszeństwo myśli do cudów wysila; tak nawzajem choroba dręcząc ciało, przywodzi niekiedy duszę do niezwykłych jój polotów....

Zaledwie usnął Tumry, uczuł się schwycony nieopisaną potęgą, i wstał, cały potem oblany, wprost kierując się ku drzwiom.

Motruna nie spała jeszcze: ostatni płomyk ogniska oświecał cygana, którego się przelekła nie-szczęśliwa, nieśmiejąc tchnąć, krzyknąć, ani go wstrzymać. Załamała tylko ręce i opuściła głowę, żeby go tak strasznym nie widzieć.

Tumry zdawał się olbrzymem, tak wyprostował się pod naciskiem niewidzialnej siły: włosy powstały i najeżyły mu się na głowie, oczy miał słupem stojące, niernchome i szklane, brew namarszczoną;

a w całym nim była taka niepohamowana wola, że żona nie pomyślała nawet przeciwko niej stanąć ze swemi łzami.

Drewnianym chodem kościotrupa, skierował się do drzwi, otworzył je dotknięciem i rzuciwszy otwarte, znikł w ciemnościach.

Schwyciła się kobieta z posłania cała drżąc, chcąc zobaczyć, co pocznie; a że księżyc świecił na dworze, ujrzała go jak wyszedł z chaty, nie wstrzymując obrócił w stronę cmentarza, i wciąż niezwykłym chodem posuwając się, znikł jak widmo, w prostą linię strzałą prąć się do niewidomego dla niej celu.

Chciała iść za nim, ale ją siły opuściły, do reszty zbłąkało się w głowie i sercu; schwyciła tylko za piersi, osunęła się i upadła na progu. Tumry, krzyku który się wyrwał z jej ust słyszeć już nie mógł, bo był daleko.

On leciał jak ptak, gonił jak zwierzę, nie wiedząc dokąd go wiedzie żądza, co nim kierowała: przeskakiwał mogiły i krzyże, przelatywał rowy, wdrapywał się na góry, przełaził przez jary, a krok jego był tak pewien, noga tak silna, moc co go wiodła tak zwyczajka, że nic go wstrzymać nie mogło.

Żadna zaporą nie zastanowiła go chwili: łamał krzaki, rozbijał grudy spieklonej ziemi, deptał chwasty kolące i nie czuł, że krew mu z piersi i nóg ciekła.

Nareszcie w głębi doliny pod lasem zaświeciło czerwone światelko, i cygan zadrzał, podwajając biegu.

Księżyc wypłynął z chmur, i przyczynił nowego uroku, dziwnemu obrazowi, który się przed ośleplemi oczyma cygana roztaczał. Noc była ciepła i spokojna, wiatr zaledwie trawy i liście poruszał; niebo miało barwę ciemno-szara, poprzerzynaną białymi jak wełna obłoczkami. Na dnie parowu szerokiego, który las otaczał z trzech stron dokoła, widać było małe obozowisko cygańskie całe w cieniach, ogrza-
ne tylko jednem namiotu ogniskiem.

Na tle jasnego dymu i płomieni, czarne jakieś postacie snuły się jak widma: to zasłaniając ogień, to usuwając się z przed niego. Część lasu bliższa, w blaskach ognistych stojąca, cudnie malowała się na czarnej głębi boru. Każda gałąź jakby złotem oblana wyskakiwać się zdawała, w tysiącznych kształtach wyginając się i drobnemi migocząc listkami....

Ale Tumry nic nie widział, i przyspieszonym, w miarę zbliżania się swego do szatry, lecąc biegiem, jak piorun wpadł pod namiot cyganów.

Staął przed ogniem, zdawał się przebudzać, krzyknął przeraźliwie, cofnął i padł nieprzytomny o ziemię, jak drzewo wiatrem zwalone.

Od wyjścia swego ze Stawiska, gromadka, którą dowodził Aprasz, przewędrowała wielki kawał kraju i rozmaitych doznała losów; może przypadek, może wola Azy przygnała ją znowu w te strony. Młode dziewczę umiało tak sterować wszystkimi, że choć pozornie stary cygan przewodził, ona w istocie i nimi bandą kierowała.

Któż tam wie, co się działo w sercu dzikiego dziewczęcia? Dość, że zwrócili się cyganie ku Stawisku. Czy chciała zobaczyć Adama, czy ciekawą była wiedzieć co się stało z Tumrym.

Po jego ucieczce, po wyjściu ze Stawiska, Aza zmieniła się bardzo; została jęj dawna żywość, ale uciekła wesołość. Pobyt we dworze nauczył ją tęsknić za strojem i zbytkiem, których raz skosztowała.

Złe jęj już było w łachmanach dawnych, w *gał'i* (koszuli) grubój, w *urakha* (płaszczu) z prostego

hasyka (sukna); chciała białej *pochty* (płótna), i krásnej *bucaki*, i świecideł, z któremi jej przy czarnych włosach i czarnych oczach tak było do twarzy!

Umiała jeszcze z niczego stworzyć ubranie, przyodziać się prostą *plastą* (kołdrą), do kibici, przybrać polnemi kwiatkami, i czystością zastąpić wytworność; ale wzdychała za jedwabiami, których tyle rzuciła we dworze Adama.

Często téż, częściej niżliby chciał Aprasz, któremu wspomnienie zbiega napełniało krwią żrenice, Tu mry przychodził na jej myśl i usta; mówiła o nim na przekor *dados'owi* (ojcu, bo tak zwano Aprasza) i nie zapomniała do końca: owszem zdawało się, że im był dalej, tém częściej i niespokojniej wymawiała jego imie. Sprzeczałi się z cyganem ciągle, gdyż on utrzymywał, że niczém go wstrzymać nie było można; ona, że go odepchnęli srogością obejścia i prześladowania.

Aza jednak klęła się i prorokowała jak cyganka, że ten kto raz błędnego życia taboru ich skosztował, nie wytrzyma przykuty do chaty i roli, i powrócić do nich musi

— Byleby nas zobaczył, byleby dym ogniska ro-

mów powąchał, zerwie się choćby z łańcucha i przyleci!!

W podróży powolnej od wsi do wsi, z miasteczka do miasteczka, cyganie kuli konie, leczyli, wróżyli, zamawiali, a Aza wielka wróżbiarka, wszędzie zwabiała ku szatrom wdziękiem swęjtwarzy i czarnych oczu urokiem. I jak prawe dziecię Ewy, lubiła, żeby się za nią włókł ten łańcuch niewolników, których jeśli jedném nie zwabiła wejrzeniem, posyłała po nich i drugie i trzecie, i uśmiech w pogoń, i mrugnienie, i tę obietnicę rokoszy, która niestety tak często kłamie! Ale nikt nad to wejrzenie, nad ten uśmiech, nad obietnicę nie otrzymał nic więcej; kiedy niewolnik spętany leżał u nóg cyganki, odwracała się od niego ze śmiechem szyderstwa i zemsty. Serce jej było kamienne, a pierś jeszcze się nie poruszyła, wtorując czyjej żądzy, czyjemu błaganiu.

Codzień jej przybywało wdzięków, codzień w tém szatańskim uprawiała się rzemiośle. Stare baby wyuczyły ją tańca wyniesionego z Hiszpanii, a śliczna cyganka przy wdzięku prostej drumli, z kawałkiem płótna w rękę, umiała z niego uroczą układać scenę. Rzekłbyś, że skacząc tak sama, w monomii tym odgrywała cały dramat namiętniej tęsknoty,

która leci ku ideałowi niewidzialnemu, zapala się doń, pragnie i rozbija o mgły i tumany! Chwilami miotala się wesoła, swobodna, jak prawdziwe dziecię cygańskie, i uśmiechała się do tego, który gdzieś zakryty stał przed nią; potem taniec jój wolniał, czynił się tęsknym, i znów gwałtowniej nią rzucał, aż wpadła w jakiś szal, w namiętność, która się wysiłkiem i jakby śmiercią pełną pragnień tajemniczych kończyła.

Na ten taniec zbiegali się patrzeć młodzieź, starzy i ci nawet, których w początku wiodła prosta ciekawość, których w chwilę potem paliła namiętność: a Aza codziennie stając się sławniejszą po miasteczkach, więcej zyskiwała swym tańcem, niż Aprasz młotem i kowadłem. Stare cyganki, a osobliwie Jaga, która niedarmo to imię nosiła od ognia (*Jag*) widziały w Azie podporę przyszłości, wróżyły jój wielkie losy, i chodziły koło niej jak koło królowej. Aprasz téż, który chmurno, ale gorącym okiem na nią poglądał, stroił ją teraz i pieścił coraz więcej, zwłaszcza od czasu, gdy mu milcząca umarła żona. Biedna ta kobieta jakby czekała, rychło od piersi jój odpadnie ostatnie dziecię; gdy z kolan zeszło i uścisku matki nie potrzebowało do życia — pochy-

liła się i milcząca, bez jęku, jak żyła umarła. W włóczędze schwytała ją śmierć na rozdrożu w smutnym lesie sosnowym, i cygan tam ją pochował, narzucając mogiłę suchemi gałęziami. Nie widać było żalu ani w nim, ani w dzieciach, więcej zdziwionych jak zasmuconych stratą matki, ani w starych kobietach i reszcie taboru, do którego nie zdawała się należeć, bo ją zawsze *gdzią* (obcą) nazywano, choć długie z niemi przebyła lata.

Szeptaly baby kładnąc ją do mogiły niezrozumiały słowa, mruzczał coś Aprasz, który ją w ziemi składał szeroką obwinawszy płachtą, ale ani jedna łza nie pociekła z oczu cygana. Tylko dziecko najmłodsze nadbiegło nad grób, widząc, że ją weń spuszczano, wyciągnęło rączki ku zimnemu trupowi pochyliło się i upadło na pierś, której bicia już wskrzesić nie mogło. Aprasz rzucił się za niem, wyciągnął, oćwiczył, i wkrótce ziemia przykryła zwłoki nieszczęśliwej.

Po śmierci jój zdawało się, że Aprasz zapragnie za żonę wziąć Azę; w kilka miesięcy powiedział jój nawet wolę swoją, ale się naśmiała i potrząsła głową dumnie.

— Co ci to — rzekła — czyś szalony *dados*? A toż-
bym ja twoją *ciaj* (córką) być mogła, a ty ojcem
moim! Tyś stary, ja młoda, i nie mam ochoty być
daj a (matką) cyganów i niewolnicą mężczyzn.

— Widzisz — odparł Aprasz chmurno — że nie mam
ktoby mi był żoną.

— Weź jaką starą niewiastę: dosyć ci jęj będzie
dla dzieci, a dla ciebie aż nadto!

— Azo! ty wiesz, że ja szyderstwa nie lubię.

— A ja szydę! — odparła dziewczyna śmiejąc się
i białe ukazując mu ząbki — boś zasłużył na śmiech!
Wyrwij sobie garść włosów i policz w nich siwe:
znajdziesz więcej ich w jednej ręce, niż ja lat prze-
żyłam; przystałoż, bym była twoją?

Kilka razy jeszcze Aprasz napadał ją z tém żą-
daniem, ale go zawsze odparła w ten sposób; a sta-
re kobiety, jęj przyjaciółki, pilnowały ją dobrze od
przemocy, i gdy przyszło do walki, krzykiem przy-
najmniej stronę jęj trzymały. Aprasz złościł się,
i żżywał, i groził, ale poradzić nic nie mógł. Po-
strzegł, że Aza wiedzie go ku Stawisku, w stronę
w której wspomnienie pana Adama i młodego Tu-
mrego ją pociągało; wściekał się zrozumiawszy jęj

myśl, ale sam przeciwko całej gromadzie, którą zawładła dziewczyna, choć dowódzca nic nie mógł.

W miarę jak się zbliżali do wioski, Aza spowazniała, zadumała się, a strój jej dowodził, że chciała być piękną: czy dla pana Adama, czy dla Tumrego cygana? — nikt nie wiedział. Aprasz jej groził, ona się śmiała.

Doszli wreszcie do Stawiska nocą prawie, a cyganka chciała, by obóz rozłożyli w znajomém miejscu na odłogu; ale *dados* się oparł, i w pustkowiu na dolinie zastanowił *werden* (wóz) i namiot rozbił.

Aza chciała zaraz lecieć do wioski, ale Aprasz rzucił się do niej z toporem i pogroził jej straszliwie, jeźliby się krokiem ruszyła. Stare baby z Jagą na czele powstały wszystkie na dowódcę, wrzask stał się niezmierny: bo aż do dzieci, cała banda słuchała więcej Azy niż jego: i przerażony kowal uległ przemocy, bo topór z rąk mu wypadł, a dziewczyna wzgardliwém zmierzyszy go wejrzeniem, zawołała;

— Nie pójdę, bo nie chcę; pójdę, gdy mi się spodobal! Słyszysz Aprasz! nie boję się ani twych grózb, ani topora, ani gniewu; a od dziś dnia tyś mi

nie *dados*, ja ci nie *ciaj*: my obcy! Idź jeśli chcesz i gdzie chcesz moi mnie nie porzuca.

Cygan zaciął usta, błysnęło mu oko czarne na białku, zamilkł i ustąpił.

Co się tam działo w sercu zrzuconego z panowania wodza, którego władzy ostatnia wybiła godzina z ostatnią nadzieją, to tylko jedna może wiedziała Aza, bo go lepiej znała od innych. Cały wieczór nieruchomy przesiedział przy ognisku, nie mówiąc słowa, nie dając rozkazów, w postaci jednego z tych królów zwyciężonych, jakich nam stare wystawiają rzeźby w wykopaliskach grodów Azji i Egiptu. Byłby skonał w tej męczarni, gdyby boleść taka zabić mogła; ale ona dręczy, a żywi i dobywa życie z człowieka, by cierpieć.

Aza wzięła rządy nad gromadą nie zważając na niego; ona rozstawiła wóz, ludzi, sprzęty, rozdała wicherzę, i jak na wzgardę misę strawy z okrajcem chleba kazała postawić przed tym, któremu dotąd pierwszy kęs i pierwsze należało miejsce. Cyganie zdawali się nie zważać nawet na wczorajszego wodza, i jak chorego lwa, każdy z nich jeśli nie nogą, to słowem bolesném potraçał; bo Aprasz bezsilny, zwyciężony, od téj chwili wodzem być już przestał.

Właśnie o krok od siedzącego na zwalisku swęj potęgi Aprasza, obłąkany, senny, padł Tumry, łoskotem upadku swego przestraszając bandę całą.

Aza, która czuwała, chwyciła zapaloną gałąź z ogniska, i przybiegła piérwsza zobaczyć co się stało. Zdawało się, że przeczuła Tumrego, że się go spodziewała: tak zwycięzko spojrzała na twarz jego bladą, martwą, wychudłą, oświeconą płonąćą gałęzią sośniny.

— Tak! to on!—zawołała dziwnym głosem—wiedziałam że to on być musi. Ciągnęłam go tu i przyciągnąć musiałam. Ale trup! ale martwiec i upiór! A! a!—dodała zlewając twarz jego przyniesioną przez Jagę wodą z kociołka—cóż mi z niego zrobili *gadziowie*, i ta jasnowłosa *egaszi*, dla której *romów* i ich życie porzucił! Na twarzy znać co wycierpiał! Biédny Tumry! zestarzał, znędzniał, na wpół umarł i zamęczył się.

Tumry w téj chwili otworzył oczy, podniósł się na łokciu, i zdziwionym wzrokiem powiódł po dziwnych otaczających go postaciach, gorące oko topiąc w pięknej dziewczynie, która z uśmiechem litości stała nad nim w blaskach swęj pochodni, jak

nieziemskie zjawisko. To widzenie wydawało mu się jeszcze dalszym snu jego ciągiem.

— Gdzie ja jestem?— spytał schrzypłym od znużenia głosem, spozierając na *romów* i na skrważone piersi, ręce i nogi swoje— nie jestem w chacie pod cmentarzem, gdzie się spać położył? Gdzież Motruna? kto mnie tu przeniósł! Czy to życie snem tylko było?

— Wszystko sen!— odpowiedziała cyganka, podając mu kubek wody.— Pij, orzeźwij się i bądź pozdrowiony z powrotem pod szatrę naszą! Sprobowałeś życia *gadziów*, serca ich, szczęścia: powiedz, czy ci lepiej było z niemi jak z nami?

— Ale to sen! to sen chyba!— trąc oczy począł Tumry.— Prawda! Janek mi wczoraj prawił o cyganach; cały wieczór rwałem się aby pójść ich zobaczyć, ale się spać układał w chacie: jakaż mię tu siła przyniesła?

— Siła, która ptaka pędzi do gniazda, a zwierzę do jamy— odparła śmiejąc się Aza— a któż zna tę siłę, która mocniejszą jest od nas?

Tumry patrzył i opamiętywał się powoli.

— Gdzież Aprasz— spytał— gdzie jego żona.

— Żona jego śpi na rozdrożu— odparła Jaga.

— A Aprasz śpi u ogniska—rozśmiała się Aza— bo od dziś przestał być wodzem naszym! Podniósł rękę na mnie i upadł! Patrz — odsuwając się i odsłaniając siedzącego, dodała dziewczyna — oto Aprasz, który mnie, mnie chciał mieć swoją żoną i niewolnicą! Skin mu głowę lub pluń na niego, jak chcesz, a nic ci już nie zrobi, bo przestał być silnym!

Wtém stary wódz chwycił się, uklóty słowem, od ognia, i porwawszy topór leżący na ziemi, z wściekłością rzucił się na Azę; ale nim ją mógł ugodzić, Tumry zerwał się na niego, wpół go objął i powalił, a nadeptawszy nogą gardło, wyrwał mu z rąk siekiere.

Ich oczy spotkały się z sobą i starły wejrzeniem krwawém, a Aprasz zaryczał i dłoń spuścił i źrenicę.

— Tak!—rzekł głucho—jam już bezsilny! Nie panować mi nad wami, ale iść za wozem waszym i słuchać! Puszczaj Tumry, na *Mroden-oro* (Boga), na *Mutes-oro* (śmierć), na *Nasua-oro* (chorobę), *giwes-oro* (dzień), na *rat-oro* (noc) klnę się, nic wam złego nie zrobię; puść mię niewolnika.

Ale Aza przypadła ku upadłemu wołając:

— Powtórz! jeszcze raz powtórz przysięgę, i dzie-
sięćkroć ją powtórz, zanim ci uwierzę!

Aprasz począł powtarzać posłuszny.

— Odbierzcie mu *towez* (siekiere)— zakrzycza-
ła— i *czuria* (nóż) i odtąd niech ich nie ma w ręku!
Dziękuję ci Tumry— dodała— puść go: winnam ci
życie. Wielki *Mroden-oro* przyprowadził cię tu na
skrzydłach tęsknicy umyślnie, żebyś mnie urato-
wał! Siadaj i grzej się u znajomego ogniska, i mów,
coś przeboleł, bo żeś nie był szczęśliwy, mówi to
błada *busta* twoja (twarz).

— A! a! — odparł Tumry wspierając się na wy-
wroconym miechu kowalskim, na który spoglądał
jakby starego witał przyjaciela — nie ma co mówić
o szczęściu i doli mojej. Próżno kto od niej ucieka!
Gadziowie zjedli mnie i żonę, powolném prześlado-
waniem ogryzając kości, i odstępili odemnie jak od
trupa, a ja walczyłem z niemi. Umarł ojciec Motru-
ny, powiodłem go okiem na cmentarz; musieli mi
oddać dziewczynę, ale żyłem nędzą moją i ich zło-
ścią: bo prócz jednego, nikt z nich twarzy nie zwró-
cił ku mnie!

— A białaż *egaszi* twoja? — spytała Aza.

— *Egaszi* kochała mnie i kocha — rzekł Tumry —

ale cóż miłość o głodzie i w niewoli? Dom mój był dla mnie trumną i grobem, tak mi w nim duszno i tęskno i ciasno; oko zawsze jednym karmilem widokiem cmentarza, mogił i nagiego wzgórza....

— Ale was było dwoje?

— Troje z nędzą, czworo z głodem!—śmiejąc się dziko rzekł Tumry—pięcioro z pocziwym Jankiem.

— Znalazł się ktoś przecie pocziwy?

— Ale wy— przerwał Tumry — cóż z wami się działo? gdzieście byli, co was przygnało tu znowu, na szczęście czy nieszczęście moje?

— Ja!—zawołała Aza—chciałam zobaczyć co się z tobą dzieje. Aprasz się sprzeciwiał, ale usłuchać mnie musiał! Życie szło jak idzie życie: dzień do dnia niepodobny, a zdaleka bracia rodzeni! Paliło się kowadło, sapały miechy, pracowały ręce, a Aza śpiewała i skakała *gadziom za łowy!* (pieniądze). I ot, widzisz, przyszliśmy tu wreszcie może umyślnie po ciebie, a może do młodego *Raj'a* Adama.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

— Co robi *Raj* Adam?—spytała—czy zawsze życie mu tak długie, a młodość tak ciężka do dźwigania?

— Nie wiem—cicho odpowiedział Tumry. — *Raj*

ożenił się był z jakąś *gadzią*, mówią, że go zwo-
dziła z drugim....

— A cóż miała robić biedna!—rozśmiała się Aza —
musiała!

— Pojechali gdzieś daleko po zdrowie dla niego,
po wesele dla siebie, a *rani* (pani) tam umarła.

— Umarła! o! jakże dobrze zrobiła! — zawołała
klaskając w ręce Aza — znowu go męczyć będę! We
dworze więc pusto?

— On sam tylko!

— Co powie zobaczywszy starą znajomę! — po-
częła Aza śmiejąc się do swój myśli. — Jutro, nie-
dalej jak jutro, przystroję się jak *rani*, i polecę do
niego!

Spojrzała na Tumrego; on chmurny obracał w rę-
ku zagasłą głównie i milczał.

— Pójdę go męczyć — powtórzyła i śmiać się!
A! żebyś wiedział Tumry, ilemto, ja już *gadziów*
miała: choć brać garściami! A co mi ofiarowali, a jak
się modlili do mnie! Było ich widzieć gdy lecieli za
Azą jak gromada *szukelów* brzęcząc pieniędzmi-
i obietnicami! Gdym widziała, że który z nich pod-
dać się nie chce i patrzy na mnie chłodno, tom póty
paliła go, pociągała, czarowała, ażem za sobą po

wiodła! O! miałamże miałamroskoszy, gdy wywiodłszy ich daleko, rzucałam po drodze jak ogryzione kości!.....

Coś okrutnego było w mowie cyganki, a jednak taki był urok jój wzroku i głosu; że Tumry drząc oderwać się od nich nie mógł! patrzył, słuchał i spragniony długą żądzą, nasycić się nie mógł,

Pięknabo była przy ognisku, a świeże zwycięstwo okrywało ją jeszcze powagą jakąś i siłą nową! Tumry nigdy jój taką nie widział.

— Ale mówno mi o sobie, — z blizając się i łagodniejąc, odezwała się Aza, o swój— *bukuni* (domku) o *egaszi* (żonie), o życiu!

— Wszystkom ci powiedział — smutnie rzekł i powoli cygan. — *Egaszi* dobra i pocziwa, ale jój tęskno za swemi, których nie widzi, jak mnie za *male* (polem) i namiotem! Płacze i płacze biedna! *Bukunia* moja, którą krwią i potem zlepił; wygnanka, jak my za siołem stoi na pustkowiu i patrzy się w państwo *Mutes-oro*, na cmentarzysko *gadziorów*. Ciasno w niej, głodno, zimno i pusto...

— A nie kwiliż w niej dziecię? — spytała zamyślona Aza.

— Nie — odparł Tumry — ale kto wie, kiedy się

ten głos z drugiego świata pierwszy raz da słyszeć? dziś, jutro może.

Dziś! jutro! toś przepadł? — odpowiedziała cyganka. — Niechno zapłacze dziecina, a uwięzniesz tam na zawsze przy swojej bladej *egaszi*, i zechniesz w pracy i utrapieniu!

Skinęła ręką!

— Idź skazany — rzekła — jużes ty nie nasz! Idź! idź! nie patrz na swobodę, nie kosztuj powietrza pod namiotem: tobie zgnić pod dachem uwiązanemu do słupa! Tyś niewolnik! tyś *gadzio*.

Wymówiła to przekleństwo bez gniewu, z litością raczej: ale Tumry uczył je w głębi piersi, jak przepowiednię nieodwołaną. Spuścił głowę, powoli po-dniósł się z ziemi, potoczył wzrokiem dokoła, jakby ich żegnał, i raz jeszcze spojrzał na Azę.

— Idź! — rzekła dziewczyna—idź do *khera* (domu), blada *egaszi* cię czeka! Niech ci się serce nie drze na widok *Romów*, bo do nich wrócić nie możesz!!...

Otrzeźwiony, osłabły Tumry powracał mozolnie i powoli tą samą drogą, którą we śnie przebył tak

żywo i łatwo. Zranione nogi za ledwie go wlokły, ciężka głowa ołowiem spadała mu z karku, serce to biło stem młotów, to przestając uderzać milkło w piersi, jakby na wieki spocząć chciało.

Dziwił się, że tak ogromną przebiegł przestrzeń, która w powrocie wydała mu się nieprzebytą, nieskończoną; wyglądał drogi i błakał się, i znaleźć jej nie mógł; kiedy niekiedy odwracał się, by spojrzeć na ognisko, przy którym zostawił Ażę! to znów znużoném okiem szukał swęj chaty, cmentarza, wioski i z trudem ścieżki rozpoznawać musiał.

Była to chwila uroczysta, gdy noc ze dniem się łamie, ciemność poczyna walkę ze światłem, śmierć codzienna ustępuje życiu; bladły niebieskie ognie, i księżyc nawet coraz srebrzystszym się zdawał, gwiazdy uchodziły po jednéj w niebieskie głębie eterów, chmury nocne zapadały z jednéj strony, a ranne kupiły się z drugieję: ptaki, pierwsze stróże żywota ziemi, poczynały śpiewać zmartwychwstanie.

I drzewa i kwiaty budziły się także barwami, które noc ciemna uśpiła, a dzień rozpowijał dla oczu; niektórych kielichy już piły rosę spragnione, inne

gnuśniejsze, w powijaczkach jeszcze cieplejszój czekały godziny. A cisza była długa, przerywana tylko pieśnią rannego ptaszka i nieśpiących kruków i szumem porannej modlitwy lasów

Tumry szedł i zataczał się! ani różowy blask wschodu, ani srebrne jasności ustępującej mu nocy, nie roztworzyły jego źrenicy umarłej... Nareszcie zobaczył czarne krzyże mogił, chude wierzby cmentarza, żółty grób Lepinka, i niski komin swój chaty.

Przyśpieszył kroku. — Co się tam dzieje z Motruną, zawołał w duchu, jeżeli postrzegła że poszedłem? A! żal mi jój, żal, ale na cóż pokochała cygana?

I minął cmentarz drżący, śpiesząc do drzwi lepianki. Na progu nie było Motruny... tylko głos dziwny, niepojęty, uderzył jego ucho. Nie był to głos zwierzęcia, ani człowieka, ani ducha, nie było skrzyp drzewa, ani świergot ptaka, ale wołanie niezrozumiałe, płaczliwe, jakby wzywające litości, w którego głębi słyhać było mowę ludzką, i jęki zwierzęcia i łzy człowiecze.

Wszedł na próg i pierwszém co zobaczył, była naga kwiląca dziecina, która leżała przy Motrunie

na ziemi. Biedna kobieta tuliła ją ku sobie płacząc, niepamiętna na boleść swoją, cała już matką tylko!

W progu wartował głupi Janek, który dał wniknąć cyganowi, dał mu się zbliżyć do żony i pokłęknać u jej barłogu: ale gdy Tumry wybiegł po chwili odetchnąć i oprzytomnieć, poczwarka zjawiała się na przeciw niego.

Zdziwił się Tumry nie widząc na jego twarzy zwykłego wyrazu litości i uczucia, ale chmurny gniew jakiś i grózbę.

— Co ci Janku? — spytał, z potu ocierając czoło.

— Co ci cyganie przeklęty! — podchwycił karzeł pięść ściskając — gdzieś ty był w nocy włóczęgo, gdy żona jęczała wzywając twojej pomocy, a choćby twarzy twojej!

— Nie wiem co się działo ze mną!

— Ale ja wiem — zawołał Janek — szatan cię upętał diabli synu: chodziłeś na tańce z czarownicami!

— Łaj mnie — rzekł Tumry — ale spytaj Motruny czym winien, czym poszedł o swojej woli, przytomny?

Janek popatrzał nań surowo.

— Ej strzeż się cyganie — rzekł — małym ja

człecze, ale jak Bóg Bogiem, jak psa cię zabiję, jeżeli żony i dziecka pilnować nie będziesz!!

Tumry uśmiechnął się szydersko i wzgardliwie.

— Janku! rzekł, tobieżto mnie grozić?

— E! i robak kąsa śmiertelnie! — zawołał mały — i ja potrafię choćby robakiem być tobie.

To mówiąc zniknął biegnąc ku wsi, a Tumry wrócił do chaty.

Serce mu się ścisnęło na widok biednej kobiety, której czoło pot śmiertelny, a twarz bladość okrywała trupia. Spoglądając na niego, jakby błagała o litość dla siebie i dziecięcia, uczuł się winnym choć nie wiedział, jaka siła pchnęła go do grzechu i przykląkł u łoża.

— Co się stało? jak to było? — spytał, ja nie odszedłem od ciebie własną wolą!

— Czarownica cię widać pociągnęła — odpowiedziała słabym głosem Motruna. — Kiedyś spał, zerwałeś się, pobiegłeś, chciałam iść za tobą i upadłam.. Nie wiem co się działo ze mną i kiedy mi Bóg dał dziecię... Otworzywszy oczy spostrzegłam w progu pocziwego Janka, który mnie widać od drzwi przeniósł na łóżko...

Tumry spoglądał na kwilące niemowlę i myśl jego przebiegała cały szereg ciężarów i obowiązków, jakie dla niego na świat przyszły z tém dziecięciem... We dwojgu ledwie żyć mogli: — troje umrzeć musieli... Potrzeba było pomocy osłabłej Motrunie, pokarmów dla niej, pieluch dziecinie, sługi w chacie i chleba! chleba! chleba!

Tumry zarabiając nań, musiał opuścić żonę samą, a nie było jej komu dopomódz w pierwszych dniach słabości.

Chwycił się cygan za głowę.

— Nie ma rady — rzekł głośno — ze wsi nikt nam posłużyć nie zechce, ja sam nie podołam wszystkiemu; pozwól mi pójść i zawołać Jagi cyganki.

Na te słowa Motruna porwała się i dziecko przytuliła do siebie.

— Cyganki! — zawołała — o! nie chcę, nie chcę, obejdziemy się bez pomocy niczyjej... Oniby mnie struli, oniby mi dziecko porwali!

Tumry ruszył ramionami.

— A tyżeś żoną cygana?

— Tak! tak! — rzekła — ale się boję, boję się! Miej litość nademną!

— Ty sama litość miej nad sobą! — zawołał cy-

gan. — Toć pomrzemy, jeśli nam w tych dniach pierwszych ktoś nie pomoże!!

— A Janek!

— Ale tu potrzeba kobiety!

— Ja wstanę, ja wstanę — pośpiesznie poczęła mówić Motruna!

— To być nie może: kilka dni przeleżeć musisz.... A któż tobie i dziecku posłuży, zgotuje; kto cię nauczy jak chodzić koło niego?

Motruna zmilczała, ale na twarzy jej, z ruchów niespokojnych widać było, że bojaźń ją nie opuściła, choć nie wiedziała co począć.

Chciała spróbować czy nie potrafi wstać, i opadła na łóżko jęknąwszy tylko boleśnie.

Tumry siadł przy niej na ziemi, i oczy wlepiwszy w dziecię i matkę, pozostał tak nieruchomy, w niemój jakiegś rozpacz.

Wtém drzwi uchyliły się powolnie; spojrzała Motruna i zadrżała, widząc straszną twarz stariej cyganki, ukazującą się powoli z sieni.

Byłato stara Jaga, którą nie wiem, ciekawość czy inne jakie uczucie nagnało w ślady Tumrego. Poczwarna baba, mogąca przestraszyć wyrazem swych czarnych oczu i śmieją co się zaklęślęj szczę-

ki. Skóra jój na czarno opalona, włos kruczy rozrzucony w pozlepianych kosmach po czole i twarzy, pomarszczone policzki, uśmiech bezzębny i wejrzenie drapieżnego ptaka, robiły ją ideałem starłej wiedźmy z baśni ludu! Brudna *gata* (koszula), zdar-ta *sokha* (spódnica) i narzucona na głowę płachta, stanowiły całe jój ubranie, z pod którego nagie ręce i pierś wyschła wyglądały. Zgarbiona, opierała się na wyłamanym w lesie kiju sękatym, którego długie użycie widać było z rozstrzępionego końca.

Wejrzeniem poleciała po chacie, i weszła z uśmiechem widząc, że będzie potrzebną. Na widok jój Motruna pochwyciła dziecko i drząc poczęła, a Tumry zerwał się i stanął zdziwiony, że się tak niespodziewanie zjawiła ta właśnie, o której mówił przed chwilą.

Zaledwie nogą na próg wstąpiła, już po cygańsku Jaga obleciała okiem palającym wszystkie zakątki izby, policzyła garnki, sprzęty, obrachowała stopień nędzy Tumrego, i wiedziała co ma i czém żyje.

Powoli jak kot kołując, skradała się do łóżka.

— Stój,— zawołał Tumry po cygańsku do niej—

agaszi boi się ciebie, drży, płacze; odstęp się ku drzewom.

—A czegoż się boi twoja *gadzia*? — spytała Jaga, siadając u progu na ławie—alboż nie żona cygana, alboż to my nie swoi, a nawet nie krewni?.... Jabym jój koło dziecka pomogła, bo ona widzę zacałuje go i zaściska, a poradzić mu nie potrafi.... Toć to moje rzemiosło.... i daj mi *Mroden-oro* tyle lat żyć jeszcze, ilem ja *romów* i *gadziów* dzieci na świat wyprowadziła!

— Nie bój się kochaneczko,—zaczęła powiejsku ale złamanym językiem, starając się przymilić i głos schrzypły spieszczając, a uśmiech czyniąc łagodnym—a toćto i wielkie panie, i ekonomowe, nawet i szlachcianki, nie jeden raz posługiwały się Jagą! Ja się znam koło dzieci, a tobie to podobno pierwsze, to je niebożątko zamorzysz z wielkiej miłości.

Powstała chcąc się zbliżyć, ale ruch Motruny rzucającej się do dziecka, oznajmił jój, że żadnej nie przyjąłaby pomocy.

— Słuchaj Jago — rzekł Tumry — możesz inaczej mnie poratować; weź się, rozpal ognia, nastaw wo-

dy, zgotuj co.... Ona głodna.... ja cały dzień pono nie jadłem, i dziecku coś będzie potrzeba....

Starój w to graj, bo bardzo pragnęła zajrzeć po kątach, a gdyby się co trafiło, wyciągnąć po cygańsku; więc na pierwsze słowo zrzuciła z siebie płachtę, postawiła kij w kącie, i zakasała podarte rękawy.

— A gdzie żar? gdzie woda? gdzie spiżarnia? Macie mléko?

Tumry uląkł się tylu potrzeb razem....

— Żar.... poszukaj w popiele, być musi; woda? zobacz w wiadrze;.... w spiżarni niewiele znajdziesz, a mléka! mléka nie mam....

— Jakto! ani kozy nawet?—zapytała cyganka.

— Ani kozy!—westchnął Tumry.

— O złyż z ciebie gospodarz!—uśmiechnęła się Jaga rozgarnując popiół,—widać żeś zrzucił skórę *romów* i rozum ich! Żeby też tyle tu siedząc, kozy nie dostać nawet! A włóczy się to tego tyle po polu bezpańskich! mogła się która przybłąkać.... Ha! ha! ha! a bałbyś się żeby nie poznali, to ją zaraz było przehandlować na targu.... Zły z ciebie gospodarz!

— Cóż tu gotować?—spytała—zkaż ja tu wezmę przyprawy? a i wody nawet ledwie męty!

— Po wodę pójdę—rzekł Tumry.

— Nie chodź, nie zostawiaj mnie samą—szepnęła Motruna.

— Po wodę i ja schodzę—odezwała się Jaga.

— A wiesz gdzie ona?

— O! uczyć mnie nie trzeba: jużcić dokąd najlepiej ubita ścieżynka. tam woda pewnie! A może gdzie kozę lub krowę spotkam, to ją dla was wydoję; dajno garnuszka tylko.

— Jago! będzie bięda!—rzekł Tumry.

— A tak to jój nie ma?—odparła cyganka.— Lepiej z głodu zdychać, czy na szubienicy tańcować?—wszystko jedno! Daj garnuszka.

Stara wychodzić miała, kiedy się zjawił Janek, z mlékem, chlebem, dzbankiem wody i węzełkiem krup: trochę tylko drzwi uchylił, dary swoje wsunął, słowa nie rzekł i wybiegł nazad pędem.

Jaga pochwyciła wszystko, a węzełek naprzód wetknęła za pazuchę dla siebie, udając, że mléko przelewa aby je zagrzać prędej. Nikt tego złodziejstwa nie spostrzegł.

Od tego poczęła stara swoją posługę w lepiance

Tunrego, w której od téj chwili rozgościła się już śmiało, widząc się potrzebną.

Dzień już był jasny na niebie, i słońce dopiekało, gdy Azarozporządziwszy wszystko w obozie, i zdawszy dowództwo cyganowi zwanemu *Puza*, bo czuła że jako kobieta utrzymać się na niém nie potrafi; wybierać się poczęła do dworu. *Puza* niemłody już cygan, krępy, mały, brzydki, który dotąd był ofiarą *Aprasza* i męczennikiem jego, zabierał się teraz oddać za swoje, gdy niespodzianie kolej rozkazywania nań przysła. Aza wybrała go umyślnie dlatego, bo była pewna, że dojrzy i uciśnie nieprzyjaciela.

Gromada chętnie się zgodziła na wskazanego jój nowego *dados* (ojca) i poszła pod jego rozkazy, a *Aprasza* nie pytano o wolę.

Młoda cyganka weszła do namiotu i rozpoczęła strój nie bez wielkiego namysłu i rachuby. Wybrała co miała najpiękniejszego, najświetniejszego, w czém czuła że jój było najlepiej, i skapawszy się cała w krynicy, utrefiwszy kosę czarną, której

ogrom ledwie głowa dźwignąć mogła, wdziała koszulę perkalową naszywaną, kilka na nią sznurów koralu i bursztynów, spódnicę w kwiaty, fartuch jedwabny, kaftan czerwony szyty, na wierzch narzucając rańtuch cienki, który ufałdować umiała z instynktem artystki.

Białe płótna i krasne farby ubrania, dziwnie podnosiły wdzięk jęj twarzy opalonej, ale świeżej i rumianej, wśród której zęby i białka jak śnieg błyskały. Z pod czarnych rzęs długich, gdy ognistém rzuciła okiem w potłuczone zwierciadelko, uśmiech przeleciał po jęj ustach....

— Zginiesz *Raǵu*, zginiesz w tych oczach! — zawołała w duchu — spalę cię na węgiel! o! spalę: żebyś był kamieniem to zapłaczesz!

— Czemuż mi tak słodkie łzy ludzkie? — poczęła się pytać siebie zadumana — nie wiem; ale kiedy je spostrzegę, gdy jęk posłyszę, to tak mi się chce mordować i męczyć, zabijać i nękać, jak dzikiemu zwierzęciu! A jednak, jednak — odpowiedziała sobie w duchu — gdyby mi tak Tumry zapłakał, zajęczał, poleciałabym może ratować go i bić się z tymi co mu łzy wycisnęli! Tumry! Tumry! Ale to już nie cygan: bladą *egaszi* pokochał, a Aza mu nie miła..

Wczoraj przecie przyleciał! O! i patrzył na mnie! a jak obronił od Aprasza! a jak zdawał się spragniony!.... Nie! nie! — potrzęsa głową — Tumry przepadł... pójdę męczyć! *Raj'a* Adama.

I raz jeszcze wejrząwszy w zwierciadelko, śliczna Aza wyleciała z namiotu, a wszystkie stare cyganki widząc ją tak wystrojoną i piękną, uśmiechnęły się złośliwie, bo wiedziały, co to znaczy, i Aprasz ujrząwszy zdala odchodzącą zżymał się, a usta zagryzł do krwi.

Sama jedna młoda dziewczyna puściła się ku wiosce, znając dobrze którądy od niej do dworu; a szła jak cyganka, nie powolnym chodem *gadziów*, ale tym polotnym biegiem włóczęgów, których życie upływa na nogach, w wiekuistej wędrówce. Pochylona naprzód, z rąbkiem którym wiatr powiewał daleko, zdawała się lecieć bardziej niżeli iść po ziemi.

Oko wlepiała w niebo, jedną ręką ujęła koniec zasłony, drugą podniosła fartuch i gnała szalona, nucąc jakąś piosenkę.

Dopadłszy do wsi, zatrzymała się nieco, i zdawała się na wpół przypominać, wpół węchem dochodzić drogi, o którą pytać nie potrzebują cyganie;

potém brzegiem stawu, ścieżką ledwie widoczną, pobięła przez ogród do dworu.

Pan Adam ledwie przebudzony, siedział w ganku w szlafroku, z długim wustach cybuchem; gdy jak sen, jak widmo, skoczyła na schodki, ze schodków przed niego wystrojona dziewczyna, śmiejąc się do rozpuku.

— Ha! ha! — zawołała poczynając taniec swój przed nim od najnamiętniejszych skoków — *Raj* Adam tęsknił za Azą, Aza za *Rajem* Adamem, i wróciła do Stawiska! Widzisz, przyszłam znowu poprobować życia z tobą, rzucić ci węgiel za pazuchę i odlecieć jak bociany!!...

Niepodobna wyrazić, jak się zmieniła twarz skamieniała młodego człowieka na widok czarodziejki, tak powoli musiał się ożywiać od toku namiętności i geniuszu, sławny posąg Pigmeliona! Ostygłe oczy poruszyły się, zajaśniały, usta otworzył uśmiech niezwykły, czoło zadrżało jak morze od wiatrów poranku, i pierś żywiej zapragnęła powietrza...

Nareszcie zerwał się i skoczył ku Azie. 2

— A! to ty! czyż to być może?

— Ot! ja! ja! paniezu! — odpowiedziała, rzucając

mu się wprost na szyję dziewczyna, i paląc go uściskiem szalonym.

— Nie zapomniałżeś mnie przecie? nie? a wieleż kochał już po mnie?

— Zkądże ty tu?

— Spadłam z obłoków, *batwany* (wiatry) mnie przyniosły..... Poprostu zateśniłam za tobą, kazałam zawrócić *werden*, i napowrót do Stawiska!

— I będziesz moją! — zawołał Adam w uniesieniu.

— Nie! — śmiejąc się i odpychając go zlekka, odpowiedziała Aza — ty moim będziesz *Raj* Adamie! Jam niczyją nie była i nie będę!

A! jak ję z tą dumą było do twarzy!?

Nie wiem jak to nazwać zechcecie; czy miłością, czy dziwactwem? To pewna, że właśnie tego rodzaju namiętnej rozrywki potrzebował zużyty Adam, żeby poczuć że żyje jeszcze. Cyganka paliła go oczami, mową, uściskami, obietnicami, szyderstwem; cierpiał, ale czuł że żyje. Kto inny silniejszy od niego, ale dumniejszy może i więcej panujący nad sobą, byłby Azę zmusił do zmiany, lub sam ją pierwszy porzucił! on z rozkoszą dawał się męczyć, nie mogąc ani oderwać się od niej, ani przemódz ję sza-

leństw bezlitośnych. Przeklinał jak szatana, a kochał jak anioła. Aza téż dobrze znała całą siłę swoją: używała jój i nadużywała. Po długiej włóczędze, po cygańskim życiu, smakował jój zbytek, wczas i atmosfera dostatków, która ją otaczała. Czasami zdawała się wśród niej tracić ogień, który w piersi jój pałał, zaduma zalegała czoło, usta śmiać się zapominały: nieruchoma siedziała godzinami w miękkim posłaniu; półsenna, półumarła; to znów zrywała się cyganka, błysnęła zębami, oczyma, ustami i rozpoczynała swój taniec namiętny, jak skoki dzikich ludów.

Ale w obudwu zarówno usposobieniach ducha, odpychała Adama, nielitościwém chłoszcząc go szyderstwem: raz ze wzgardą poważną, to znów z wesołością trzpiotowatą.

— Jak ja mogę kochać ciebie pytała go — powiedz sam: jestże dwoje ludzi mniej do siebie podobnych? Jam dziki zwierz pustyni! ty dziecko zapiecka wymokłe, zbladłe, chude i bezsilne. Jeden mój uścisk zgniótłby ciebie, jeden pocałunek by cię spalił; a w pierwszej kłótni, która z każdój miłości jak para z wrzasku wyrasta, jabym cię zabiła jeżeli nie ręką to słowem!

Upokorzony pan Adam milczał, szczęśliwy jeszcze, że mógł nóg jój leżąc i patrzeć w te oczy, nad które wymowniejszych nie widział w życiu....

Cyganka zwykle we dnie dowiadywała się do obozowiska swego, które teraz rozłożyło się na odłogu bliżej wioski i zostawała pod opieką dworu a więc bezkarnie mąciło spokój chłopów, lub rozsypywało się po okolicy; a na resztę dnia i nocy wracała ze starą cyganką do pana Adama. Choć droga nie wiodła ją tędy. Aza codzień prawie przechodziła około chaty Tumrego, na którą ciekawém rzucała okiem, jakby nie tylko w nią, ale we wewnętrzne życie, które w sobie zamykała, zajrzeć pragnęła. Oczy jój zapalały się naówczas namiętnością, gniewem, zazdrością i nie wiem jakim uczuciem, zlepkiem tysiąca uczuć dziwnych, miotających sercem dzikiego dziewczęcia.

Pierwszy raz tu przyszedłszy stanęła, aby policzyć może, ile dni pracy, znoju i trudów. Tumry na swą lichą musiał położyć budowę; pokiwała główką, rzuciła ręką i poszła do dworu. Odtąd codzień prawie przelatywała około cmentarza i chaty, ale wejść do niej nie śmiała, choć uchem i okiem śledziła co

się tam działo. Ani Tumry, ani nikt jój tam nie spotkał.

Dni leciały piorunem we dworze, ale powolnie wlokły się w chacie kowala. Motruna leżała zesłabła z dzieckiem, którego obawiała się od piersi puścić, oka nawet do snu zmrużyć ze strachu nie mogąc. Stara Jaga przerażała ją swoim uśmiechem, usługomością i wzrokiem, w którym dziecko wsi przeczuwało skrytego nieprzyjaciela.

Napróżno prosiła Tumrego, aby ją oddalił; jemu lżej było ze starą cyganką, i śmiał się z próżnych strachów żony.

Od nocnego widzenia się w dolinie, Tumry nie spotkał jeszcze Azy; dowiedział się tylko od Jagi, że była we dworze. Zadrżały mu usta i pobladł, gdy to usłyszał; ale więcej nie spytał nawet o nią.

Sama też stara cyganica co dzień niemal donosiła niepytana, o dziwach życia dziewczyny, w której pan dworu zakochał się, jak mówiła, na dobre.

— Mówią — dodawała — że gdyby tylko chciała, pewnoby się z nią ożenił; ale głupia *Raklora* (dziewczyna) śmieje się z niego, ponieważ, i ani myśli o nim! O głupiaż, głupia! — szeptała — gdyby inna była na jój miejscu, cobyto skorzystać można! Pra-

wda, że *Raj* blady, nędzny, bezsilny, ale czyżto z nim żyć zawsze?

I takim uśmiechem kończyła swe narzekanie, jakby mu chciała podać kubek trucizny. Straszna — bo była istotą ta Jaga! — rodzajem kościotrupa dusznego, w którym ze wszystkiego co ludzkie, sama chciwość i łakomstwo pozostały. Wprawdzie zawsze prawie starość przybiera te dwie cechy wieku, w których tętni jeszcze miłość własna, co wprzó d służyła za jądro innych, przystojniej odzianych namiętności; ale gdy nago i bezwstydnie wystąpi w zesłabłym i schorzałym człowieku u schyłku życia, skąpstwo, pragnienie nienasycone i chciwość: — czynią zeń poczwarę obrzydłą. W starój cygance wszystko już było zgasło: uczucie, przywiązanie, czułość wszelka i pamięć; a że ją nędza chłostała życie całe, chciwość dziwna, zwierzęca, rozpasana, wzmogła się w niej do najwyższego stopnia. Chwytać, chować, zabierać, stało się jedyną namiętnością Jagi, która kradła instynktowo, machinalnie, co tylko w ręce jój wpadło. U Tumrego nawet, wśród nędzy codzien widoczniejszej, nie mogła się powstrzymać od kradzieży tego, czego ani schować, ani zabrać nie umiała; a w obozie codzien jój coś

wytrząsano z węzełków i smagano nieszczęśliwą, która nazajutrz rozpoczynała na nowo. Nie dziwujmy się starłej Jadze, w naszym świecie ilużto starców zbiera, dusi, chwyta jak ona; ilu innych wykształceńszych obraca ten popęd w jakąś manię kolekcyi, w zapalczywą chęć pieniędzy i mienia?

Tumry nie zważał na szkody jakie mu wyrządzała cyganka, rad, że z nią trochę w chacie lżej było, zresztą nie widział wcale co się koło niego działo, i w smutku jakimś zatopiony, chmurny, zamyślony, zmęczony, całe dni spędzał na ławie przeciw łoża Motruny.

Kuźnia jego była gotową, ale nikt nie przychodził, choć pod namiotem cyganów kowadło milczało także: ludzie szli do wsi sąsiednich, a żaden nie zabłądził pod cmentarz. Od dni kilku, gdyby nie Janek i niewyczerpana pomoc jego, uboga jak on, ale ciągle, jużby jeść co nie było w chacie. A tu na głód i nędzę przybyła trzecia istota jeszcze, której wyschłą piersią Motruna wykarmić nie mogła.

Tumry chciał iść do dworu, ale nie śmiał; wahał się, od dnia do dnia zwlekał, a sam siedział z założonemi rękami, czekając, zdaje się, śmierci czy jakiegoś końca, z poddaniem się losowi zdrętwiałem.

Aza o wszystkiem wiedziała od Jagi, która co dzień chodziła pod namiot i widywała się z dziewczyną; a choć miała czém pomódz Tumremu, nic nie zrobiła dotąd.

— Dobrze mu tak—mówiła przez zęby białe ścinając usta—chciał białej kobiety i życia gnuśnego w chacie, chciał być *gadziem*, kiedy go Bóg *Romem* stworzył, niech cierpi! Życie siedzi głęboko: głód go i ból nie dostanie!

Jednakże przechodząc około cmentarza, codziennie oko jej mglistszym wejrzeniem patrzyło na lepiankę; i raz, gdy pan Adam u nóg jej po obiedzie spoczywał, czekając jaki rodzaj nowej męczarni wymyśli nań dziewczę nielitośne, odezwała się do niego:

— Słuchaj *Raj* Adamie: co wam zrobił cygan Tumry, że u was z głodu umiera?

— Kto? gdzie?—z ciężkością przypominając sobie, zapytał pan Adam.

— Kowal Tumry, co siedzi pod cmentarzem.

— Wszakżem mu dał żonę, krowę i pieniądze?—rzekł ziewając pan Adam—czegoż chce więcej?

— A ludzie twoi go prześladują: nie ma roboty, odpychają go wszyscy, siostry i bracia zaparli się

ich! Czyżbyś ty nie mógł rozkazać, żeby było inaczej?!

— Rozkazać ludziom żeby kochali?—z uśmiechem zapytał pan domu — samą mi powiedz czy można?

— Kochać! nie, ale słuchać powinni! Tyś tu pan: alboż ci nie wolno posłać ich do kowala, jak posyłasz gdzieindziej?

— Wolno mi,—rzekł Adam—ale na co się to zda?

— Spróbuj!

— Chcesz, spróbuję — odparł młody człowiek i rozkazał nazajutrz przywołać gromadę.

Rzadkato była rzecz rozmowa tego pana z czeładką i ludźmi. Powolny i łagodny do zbytku przez lenistwo więcej niż dobroć istotną, nie wdawał się wcale w to, co się działo u niego, i nawet w dni uroczyste przyjęcia gromady, rzadko się słowem do niej odezwał.

Rozeszła się więc wieść zwołania starszyny po siole, jak nowina niezwykajna; a Maxym Lach, Skorobohaty i Symiacha, stojący na czele starszyny, łatwo odgadli o co iść miało. Wieczorem po zapowiedzi atamana, skupili się w tyle za karczmą dla narady.

— To nic — rzekł Maxym — to pewnie cygańska

sprawa. Ten czort cyganica w oko mu wpadła: będzie prosił za kowalem....

— O ho! — parsknął gniewnie Skorobohaty, podnosząc rękę do góry — z tego nic nie będzie: pamiętam ja słowa nieboszczyka Lepiuka! Toć i wstyd całej wiosce zrobił ten przybłęda, że nam z przed nosa wziął dziewczkę, i gromada się zarzekła, że go zmusi pójść precz.

— A takito dobry kowal — mruknął Symiacha, kręcąc głową — bywało w Rudni, jak przyjdiesz czy z radłem, czy z podoskiem, czy z kosą, czy z siekierą, to niema roboty, jak kiedy on stanie do młota. Już ja to doświadczyłem, że i mocno i sumiennie robi, i taki majster z niego dobry.

— A co to on jeden na świecie? — począł Skorobohaty — żyliśmy dotąd bez niego, pożyczemy i dalej: gromada swoją cześć i słowo powinna strzymać.

— A jak pan każe? — spytał Lach.

— Albożto do karczmy czy po staremu do młyna żeby nas pilnowali na bok nie jeździć! he? Coto kowal nas w aręde wziął? •

— Jaki z ciebie mędrzec — odparł Lach — No! no! pamiętajże, weźże się i gadać za gromadą, jak jutro będzie potrzeba.

— Myślicie że nie potrafię? spytał Skorobohaty— Oj! oj! oj! tyleby biędy; i powiem choć i panu co się parzy!

— A żeby my tak, ojcie podumali, rozmyślili się— przerwał Maxym — czy warto nabożeństwo świeczki? Za czyją to duszę pokutujemy, mając majstra pod nosem, chodzimy o milę i więcej? Komu to złość jeśli nie nam?!

— A gromadzkie słowo? — spytał Skorobohaty— a Lepiuk?

— Umarł, pochowany, i święty mu pokój! Na co go z grobu wywlekać.

Na tę rozmowę nadeszło kilku innych gospodarzy i domysły o jutrzejszej gromadzie, to jest zborze do pana, a narady względem odpowiedzi jakaby dać wypadło, jeźliby chciał na kowala namawiać, rozpoczęły się na nowo.

Zdania były dość podzielone! jednakże brat starszy Motruny, a za nim większość ze Skorobohatym, głośno krzyczała, że gromada na swoim postawić powinna. Jak zawsze, choć może mniej było upartych, ale ci co się uparli, krzyczeli głośno, pociągali słabych, i zagłuszyli nieśmiałych! Maxym-Lach nie odważył się odezwać, Filip, brat Motruny, ust nawet nie otworzył.

Można więc było już przeczuwać co się stanie we dworze; bojaźliwsi zamilkną, krzykacze zagłuszą nieśmiałych i zostaną przy swoim uporze.

Zaraz nazajutrz zrana, gromada otoczyła ganek dworu w milczeniu; ale gdy do niej wyjść przyszło, pan Adam tak się wahał, zbierał, męczył samą myślą rozmowy i sprzeczki, że wytrzymał ją do południa w oczekiwaniu! Ze zgasłą fajką wysunął się wreszcie, grzecznym ukłonem witając swoich ludzi, którzy z pokorą, w cichości, czekali pańskiego słowa. Nie śmiejąc zrazu napaść z żądaniem, które miał na myśli, począł bąkać o urodzajach, zasiewach i gospodarstwie, aż wreszcie opamiętał się.

— Słuchajcie, panowie gromada — rzekł — zaco to prześladowacie biédnego cygana kowala, który wam jest potrzebny, a dla jakich tam głupich przesądów używać go nie chcecie? Zbudował chatę, kuźnię, osiadł, a żywa dusza ani gadać, ani żyć z nim niechce?

Skorobohaty wystąpił z ukłonem .

— Prawdę powiedziawszy paneńku, myśmy go tu nie zapraszali: siadł, bo chciał... A że gromada postanowiła go nie brać do roboty, to nie bez racji...

— Jakaż racya?

— A córka Lepiuka, którą tak jak gwałtem. przeciw woli ojca, cygan sobie zbałamucił? Albo to nie wstyd dla nas? Pobratał się z nami gwałtem, to my go więcćj przypuszczając do siebie nie chcemy. Pozwól kurze grzedy, ona pójdzie wszędy; dalej cyganie nam będą wszystkie dziewczęta zabierać..... Toż nie cygańska ojcowizna, Stawisko.....

Pan Adam spojrzał na chmurny wyraz twarzy Skorobohatego, i nie wiedział co począć dalej!

— A gdybym ja was za nim prosił? — zapytał.

— Lepiej tego nie róbcie — rzekł Skorobohaty — niechaj cygan wynosi się gdzie zechce; świat dla niego szeroki, żony mu nie odbierają...

— Gdybym ja tego żądał! — powtórzył pan.

— I nie żądajcie tego od waszój gromady — zawołał stary — nie powinniście chcieć wstydu naszego.

— Cóż to za wstyd? małoż cyganów pozeniło się i po wsiach osiadło, i pobrali gospodarskie córki.

— Tak! ale za pozwoleniem gospodarzy, a nie przeciw woli ojcowskiej — odparł Skorobohaty potrząsając głową. — Co złe, to złe!

— Mówcie co chcecie — przebaknął pan Adam—

ale nie macie słuszości... Pogniewaliście się, podąsali, czas darować i zapomnieć.

— Lepink nie żyje, a on jeden mógł córce przebaczyć; ani gromada, ani bracia nie mają do tego prawa.

Adam widząc upór starego, obrócił się do brata Motruny, który stał na boku założywszy ręce na piersi, w postawie oznaczającej, że myślał upierać się przy swoim.

— To wy jesteście przyczyną wszystkiego — rzekł, wy namówiliście gromadę, wasza to sprawa stawić się przeciwko dworowi;... ale pamiętajcie, że, źle wyjdziecie na tém.

— Wola pańska — hardo odpowiedział Maxym — gromada ma swój rozum; niech mówi co chce, a my tu tylko ojcowski rozkaz spełniamy. Chciała Motruna cygana, dwór pozenił, wszakżeśmy nic nie powiedzieli: ale bratać się z nim nie myślimy...

Pan Adam nie miał dosyć siły, by dłużej spięrać się z gromadą: chciał się tylko wywiązać z obietnicy, niewiele wierząc w skutek słów swoich.

— No! no! — rzekł z pańska i groźniej — nie chcę słuchać waszych przyczyn; dość, że mi się to nie-

podoba, że prześladujecie biédnego. Rozkazuję żeby mi tego nie było, żeby mi tego niebyło!

Powtórzył raz jeszcze i zniknął.

Panowie gromada spojrzeli po sobie z uśmiechem niemal szyderskim: pokłonili się nic nie odpowiadawszy, i powoli się rozeszli.

Z okna pokoju, Aza słuchała téj rozmowy, i widziała postawy ludzi i pana; a gdy pan Adam wrócił zmieszany niepowodzeniem swojej wyprawy poczęła się śmiać na całe gardło.

— O! jakżeśto srogi! — zawołała kładnąc się na sofie—jakżeś straszny, jak cię się ludzie twoi lękają. Teraz to już pewna jestem, że tłumem pójdą do kowala? Cha! cha! cha! doskonałeś ich zgromił.

Adam się zarumienił.

— Cóżbo chcesz? — rzekł — Zrobiłem co tylko można, ale to lud uparty! Zresztą możnaż mn mieć za złe, że w takich rzeczach chce mieć wolę swoją?

Wzgardliwe spojrzenie całą było odpowiedzią cyganki, która wstała obwinęła się rąbkiem, i nie żegnając pana Adama, wyszła ze dworu.

Według zwyczaju skierowała się ku chacie Tumrego i zbliżywszy do niej, zwolniła nieco kroku. Wzrok jej padł na drzwi lepianki, i wstrzymał się

na nich długą chwilę; oczy zaiskrzyły jakimś gniewem, wyrzutem, pragnieniem. Podeszła i stanęła, zdawała się wahać, wnijść czy nie; a a w tém błady, wynędniały wyszedł cygan z sieni; i nie widząc jęj wstrzymał się w progu.

Znać było z jego ruchów, z twarzy i postaci, że nie myślał co robił; wyszedł, bo mu może zabrakło powietrza w izbie, i nie miał czém odetchnąć; stał, bo iść dalej nie czuł potrzeby, i wszystko mu jedno było być tu, lub gdzieindziej? Ręce opuszczone bezwładnie, obwisła na piersi głowa, rozczochrany włos na nią, usta w pół otwarte, policzki wybladłe, wzrok zgasły; czynił go podobnym do chorego, który powstaje z łóżka po ciężkiej i długiej boleści.

Aza niepostrzeżona wlepiła w niego oczy ciekawe, i coś jakby radość i litość razem z nich strzeliło. Podeszła jeszcze kroków kilka, a on nie widział jęj jeszcze; wreszcie cień padł na cygana, poczuł że ktoś się zbliża, i powoli, obojętnie, podniósł głowę.

— Tumry! co ci to? — spytała Aza — czyś chory?

— Chory! — odparł cygan.

— Jaga nic mi nie mówiła o twojej chorobie.

— Nie było co mówić o niej — rzekł cygan krótko.

— A możebyśmy co poradzili?

— O! nie — uśmiechając się gorzko, odpowiedział Tumry.

— Nie? dlaczego?

— Dlatego, że to choroba i niechoroba; bo i choroba, i nędza, i głód, i rozpacz, i więcej a więcej jeszcze, niż słowo wypowiedzieć może.

Cyganka rozpoczynając z Tumrym rozmowę, szła powoli ku obozowisku, a on nie wiedząc co począć, machinalnie z głową spuszczoną, odpowiadał jej, i włókł się za nią. Szli tak jedno przy drugim milcząc, to urywanemi słowami przerywając milczenie; i cygan ani się opatrzył, jak chatę daleko za sobą zostawił.

— A żona twoja, a dziecko? — zapytała Aza.

— Jak ja! — rzekł Tumry.

— Cóż z sobą myślicie?

— Co mamy myśleć? myślimy umrzeć.

— Głupstwo — przerwała cyganka żywo — umrzeć na rozkaz nie potraficie, a rady szukać potrzeba. *Mutes-oro*, (śmierć) nie przychodzi na zawołanie!

— Nie ma dla nas rady!

— A gdybym ja ci jaką dała?

I spojrzała mu w oczy z zapytaniem.

— Ty!? — uśmiechając się niedowierzliwie odezwał się cygan — o! nie oddawaj czego i sama potrzebujesz; zda się tobie!

— Mnie, rada? na co?

— Boś i ty także jak ja z *gadziami* się związała, i jak ja wyjdiesz na tém.

— Ja? ja? — zaśmiała się cyganka — cóż ty myślisz Tumry?

— Myślę co widzę, i co widzą wszyscy: żeś także przepadła!

Aza nie przestawała śmiać się, poruszając ramionami!

— O! wam się zdaje — odezwała się po chwili nieměj niecierpliwości — że Aza tak miękka, tak dobrowolna, tak posłuszna jak wy wszyscy, którym *Mroden-oro* nie dał woli ani ducha; że dość na nią skinać, dość jěj cacko lub *łowy* (pieniądze) pokazać, by poszła za kimkolwiek! Cóż z tego, że chodzę do dworu. Dwór mię dlątego nie spęta: ja jemu, nie on mnie rozkazuje.

— A pan Adam? — spytał wpatrując się w nią Tumry — przecieżto twój kochanek!

— Tyle co ty! — odparła dziewczyna.

— Co ja? — ożywiając się rzekł cygan — co ja?
A jaż kiedy nim byłem?

— I on nim nie był nigdy!

— Dlaczegoż przesiadujesz u niego, na co go ba-
łamucisz!

— Siedzę, bo mi tam dobrze, wygodnie, ciepło, spokojnie, nie głodno! — śmiejąc się poczęła Aza. — I dzień i godzinę jedną ukraść cyganowi od nędzy i biedy swojej — tyle zysku! i to dobre! Możesz-że i ty myśleć, żeby cyganka jak ja *Raklora* (dziewczyna) pokochała takie stworzenie jak wasz pan, wymęczone, ledwie żywe, więcej doktora i lekarstwa niż kochanki potrzebujące. Oj! Tumry, nie znasz mnie jeszcze!

— Kiedyś cię znałem — pocichu odezwał się cygan wzdychając — ale któż za was zaręczy i powie co jutro będzie?

— Jabym ci przecie powiedziała co będzie jutro, co zawsze być musi! — przerwała Aza zastanawiając się.

A byli już daleko, wpośród pola, za wioską, sami jedni; i Tumry tu dopiero się opatrzył, gdy dla niej zastanowić się musiał, że nie wiedząc co czyni, za-

szedł za dziewczęciem od chaty, opuszczając samą jedną Motrunę! Obejrzał się zdziwiony.

— Cóż ma być jutro? rzekł z przymuszonym uśmiechem — to co i dzisiaj: głód i nędza! Wy pójdziecie wędrować po szerokim *pfufie* (ziemi), a ja przykuty umrzeć tu muszę.

— Co za mus? — spytała dziewczyna — możesz pójść z nami.

— Ja z wami? — powtórzył Tumry — a żona?

— Z żoną i dzieckiem — kończyła cyganka. — Alboż mało nas tak chodzi? Czegóż to dłużej czekać będziesz; żeby cię osadzili i powiesili? Z nas jeszcze nikt nie umarł głodną śmiercią, i ty znajdziesz chleba kawałek.

— Ale ona, ona nie zechce!

— Cóż to u was *egaszi* rządzi, nie *dados*? — szydząc zawołała Aza — będzieszże słuchał głupiej żony? Poszła za cygana, niech idzie za cyganem: przecież i jój tu nie chcą.

— Nie! — po krótkim namyśle odparł Tumry — ja tego nie zrobię!

I widać było, że skrytego coś utaił w sobie, bo mu się usta zacięły nagle, gdy już, już słowo z nich chciało ulecieć.

— Dlaczego?—napiérając spytała cyganka.

— Dlaczego? — chmurne wejrzenie coraz śmielój ku niej podnosząc, odezwał się Tumry, który ją za rękę pochwycił — dlatego może, że i tybyś szła z nami; słyszysz Aza!

— Ja? to i ja ci już wrogiem jestem?—z wymówką zawołała dziewczyna.

— Nie, ale czas ci tu powiedzieć, tybyś mnie jak *Raja* (pana) tego spaliła na węgiel oczyma; ty nie masz serca!

— O! a na cóż ci serce moje?

— Pytasz się, Azo?

— Pytam się, boś pokochał bladą *egaszi*.

Tumry spuścił oczy.

— Tyś w ówczas szalała z *gadziem* także.

— Tak jak dzisiaj — odparła cyganka. — Ale cóż tobie do mnie i mojego serca? Nie chciałeś mnie wprzód, nie czas już teraz.....

— Nie czas! nie czas!—puszczając jój rękę gwałtownie rzekł cygan — O! ja to wiem. No! ale ja dziś dopiero za tobą szaleję!

— Oh! oh! doprawdy Tumry?—spytała nieco jednak pomieszana dziewczyna.

— Podła! szydzisz ze mnie jeszcze!

— Nie! mam litość i pytam się tylko.

Cygan spojrzał na nią z pod brwi nawislėj i umilkł.

Szli tak w milczeniu długą chwilę, ale wśród niego zmieniły się twarze i myśli obojga.

Aza z szyderstwa przeszła w niezwykle jakieś zadumanie; znać było, że siła ją odstępowała, że uczucie któremu dotąd panowała, brało górę nad postanowieniem: oko się zasłoniło rzesami i usta zadrzały...

Tumry z obojętności i odrętwienia przeszedł w rozmarzenie, niemal w szal znowu, z jakim biegł niegdyś nocą do obozowiska... Nie tento już był cygan, który wyszedł z chaty nie swój, zmęczony i zesłably; pierś mu buchała, a oko gorzć poczynalo. Kiedy dwa ich wzroki znowu się po chwili spotkały niespodzianie z sobą, Aza aż się zlekła tak uczuła się słabą, tak go postrzegła silnym i cofnęła się aż krokiem.

— Idź do chaty — odezwała się głosem drżącym — idź Tumry do chaty; zobaczymy się jeszcze.

— Gdzie? kiedy?

— Nie wiem... nie wiem — spiesźnie pragnąc

a nie mogąc odejść, poczęła Aza — może dziś, może jutro...

— A ty znów polecisz do dworu...

— Nie! do obozu idę...

— Ale będziesz we dworze? — zagadł Tumry, z pytania robiąc wymówkę.

— Wstydz się — dodał pie pozwalając jój odpowiedzieć — na co ci ten trup na wpół zgniły! Wiesz, że nie stworzony dla ciebie, a ciągniesz go i zabijasz.....

Dziewczyna ruszyła ramionami, oko jój rozjaśniło się poczynając pałać znowu, usta tchnęły dumą i pogardą.

— A na cóżeśmy stworzeni? — spytała jakby natchniona — na samąż nędzę tylko i tułactwo, na ból i cierpienie, Nie! nie! wiedział wielki *Mroden-oro*, na co nas na świat przysłał! On nas przeznaczył na zgubę, na klęskę, na niszczycieli *gadziów*; i kazał im szkodzić, kazał nam ich zabijać! Każdy z nas robi co umie, spełniając wielki rozkaz *Mroden-oro*, o którym matki mówią nam od dzieciństwa, przypominając co nas czeka. Stare wróżą i straszą wróżbami, chwytają im dzieci, zabijają młode matki

a my dziewczęta, musim ich męczyć inaczej! Ja go zamęcę! zamorzę! ja go wzrokiem zatruję!

Jakiś instynkt zniszczenia i zajadłość tak zawzięta mówiła przez usta dziewczyny, że Tumry aż się jęj przestraszył prawie.

— Mielizby oni posiąść wszystko, a my nic nie mieć prócz nędzy naszej? Za co świat podzielił między siebie, i bogactwo, i ziemię, i wodę, i powietrze? Nam też dostać się coś musiało, i myśmy robakiem, co się w ten owoc wpija, co ziarno z niego wyjada! Niech zginie! niech zginie! — dorzuciła z zapalem.

— Niech ginie! — poszepnął Tumry zamysłony — a jednak wiesz Aza — dodał wahając się — mnieby go żal było!

— O! boś ty już nie syn *erumanselów* — przerwała dziewczyna popędliwie — tyś *gadzio* jak oni krwią i sercem, tyś także nasz nieprzyjaciół, kiedy nad nimi masz litość!

— Szalejesz! — rzekł Tumry.

Aza uśmiechnęła się, a z pod warg jęj różowych, białe zęby ścięte, jakby kąsać chciała, błysły dwoma rzędami pereł.

— No! dość tego! dość tego! do chaty niewolniku,

do budy przykuty *szukela* (psie), do żony *gadziw*; a ja do swoich!

Tumry chciał się jój jeszcze spytać, kiedy ją zobaczy, gdzie się z nią spotka znowu; ale dziewczę odzyskawszy przytomność i władzę nad sobą, poniosło się jak wiatr, i z oczu mu znikło.

Wieczorem Aza znów przeleciała pod chatą Tumrego, i pobiegła do dworu. Co ją tam ciągnęło? czy chciwość, czy ciekawość, czy w istocie ten instynkt zemsty i prześladowania, który chwilami tak silnie się w jój sercu odzywał? Któż powie.....

Pan Adam zawsze ją witał jednakowo słaby, rozdrażniony jednakowo pragnieniem; ale od dnia pierwszego nic na niej wymódz nie umiejac prócz palącego pocałunku, poczynił już, zwłaszcza gdy jój nie widział, gdy sam zostawiony był sobie, zżymać się i niecierpliwić.

— Co ona myśli? — mówił gdy go odbiegła i porzuciła sam na sam — zwodzić mnie tak i dręczyć do końca i znów potem odbiédz! Ludzie już nawet śmieją się ze mnie, ja sam niepoznaję siebie; potrze-

ba to raz skończyć, i albo zatrzymać ją tutaj, lub precz zwodnicę, osmagawszy wypędzić! Dosyć to już tego, dosyć!

I dodając sobie postanowienia, którego nie miał pan Adam, wciąż powtarzał, jakby się chciał przejąć słowami swemi dosyć już tego! dość tego!

Ale gdy śliczna dziewczyna, trochę smutniejsza, niż zwykle, wbiegła do jego pokoju i zabłysła w tej czarnej pustce twarzą pełną życia i ognia, oczyma palącemi jak zwierzęcia dzikiego ślépie; pan Adam zapomniawszy na najuroczystsze dane sobie słowo, cały się rozplynał w rozpamiętywaniu jej wdzięków.

Aza nie rzekłszy słowa do niego, rzuciła się na miękkie posłanie, podkurczyła nóżki pod siebie, jak by siedziała na ziemi, głowę wsparła na poduszkach i wlepiwszy oczy w sufit, pozostała tak długi czas zamyślona.

To dozwoliło panu Adamowi nieco się znów podsiłic i przypomnieć sobie pierwsze postanowienie.

— Azo! — rzekł surowiej podchodząc ku niej — no! cóż będzie z nami; raz to potrzeba skończyć.

Ale cyganka głowy nawet nie odwróciwszy, wciąż

zapatrzona w górę, pewna swęj siły, odpowiedziała obojętnie:

— No mówże, rada posłyszę, jak się to skończyć powinno?

— Jak chcesz, byleby się skończyło — odparł, udając stanowczą wolę pan Adam. — Mam już dosyć twoich zwodnictw i twego szyderstwa; cyganie niech daléj idą, a ty zostań się ze mną, lubi ty i cyganie precz!

Ostatnie słowa wymówił tak cicho, tak drżaco i niewyraźnie, jakby się lękał sam ich usłyszeć, i urwał niedokończywszy. •

— Cha! cha! cha! — rozśmiała się szalona dziewczyna, wciąż w sufit patrząc do góry — a gdy cyganie pójdą i ja z cyganami, co ty tu lepszego poczniesz? O! powiedz mi proszę! Będiesz ziewał, nudził się, przebierał w brudnych wieśniaczkach, kupował sobie blade mieszczanki; może w ostatku ożenisz się raz drugi, i drugi raz cię zwiodą...

Wspomnienie to zawsze przykre dla pana Adama i niecierpliwiące nadewszystko, było jedynym może sposobem rozdrażnienia go. Chwycił się z krzesła strasznie błyskając oczyma.

— Cicho zmijo! — krzyknął, wpadając w uniesienie gwałtowne.

— A! a! patrzajcie! zebrał się na gniew! — zimno poczęła cyganka.

Ta obojętna odpowiedź jeszcze bardziej podżęgnęła bezsilnego.

— Jeszcze słowo, — rzekł, — a...

— A co? — zapytała Aza.

Pan Adam zatrząsł się od gniewu i chwycił się aż za włosy; nie mógł już nic wymówić, taka nim miotała zajądlność chorobliwa. Potajemnym rzutem oka zmierzyła dziewczyna jego passyę i niebezpieczeństwo na jakie się narażała, jeżeli jój niepohamuje, bo wiedziała już jakim był pan Adam, gdy nagle z apatyi codziennój wpadł w szal niecierpliwości; powstała więc powoli z uśmiechem, i nic już nie mówiąc, wlepiła weń dwoje oczu czarnych, w które z siebie sączyła jady i uroki.

Nie mógł się im oprzeć pan Adam, bo go ścigały wszędzie i pociągały jakąś niepojętą siłą; chciał wytrwać w gniewie pórzył się i nasrazał, a czuł jak się to rozpryskiwało i uchodziło; nareszcie zwyciężony, rzucił się na krzesło w posępném milczeniu. Cyganka nie mogła pozwolić, by ją tak rychło wygnano ze Stawiska.

O! nie—powiedziała sobie w duchu—nie czas mi odejść jeszcze: wprzód Tyrego opętać i pociągnąć za sobą muszę. Pójdę kiedy zechcę, nie wypędzona sromotnie, ale odwoływana ze łzami. Czekaj *Raju!* zapłacisz mi to we troje, zapłacisz za dzisiejsze!

Twarcz jćj tymczasem rozjaśniała się smętnie.

— A! niewdzięczny! — zawołała — za to, żem do niego powróciła, on mnie jeszcze łaje i męczy!

I uśmich tak łagodny wykwitł na jćj usteczkach, stała się tak zadumaną, powolną, tak jakoś nie-szczęśliwą i strapioną; że pan Adam rozstrojony zupełnie przypadł do nićj na klęczkach.

— A! daruj mi, przebacz, nie gniewaj się i nie płacz! Ja tyle ucierpiałem od ciebie, głowa mi się zawraca! Powiedz przecie raz co myślisz? Kochasz mnie, czy nie? będziesz, czy nie chcesz być moją?

Aza potrząsła głową.

— Czyją ja będę, to na całe życie; a kiedy się kto ma zaprzedać sam w niewolę, musi dobrze pomyśleć i serca zapytać. Nie! nie! ja ci tak prędko przyrzec nie mogę. A! widzisz, żem tu wróciła!

— Więc kochasz mnie? — spytał przechodząc na-

gle do rozczulenia pan Adam, i biorąc rękę, którą mu opuściła cyganka.

— Alboż ja wiem?—odpowiedziała, kogo kocham, i czy kocham, i czy kiedy kochać będę? Moje serce spi jeszcze, a kto je rozbudzi, ten posiedzie. Probujcie!!

— Ale moje?—rzekł pan Adam.

— Twoje niech cierpi i niech czeka!

— To dziw, doprawdy—zrywając się i poczynając przechadzać, mówił sam do siebie pan Adam—z kąd się to proste dziewczę mogło tego wszystkiego nauczyć: i słów tych, i myśli i téj sztuki zalotnej, którą lepiej od naszych pań umie? Wyraźnie robi sobie ze mnie zabawkę!

Zapobiegając przewidzianemu buntowi, Aza, której się przechadzka pana Adama po pokoju niepodobala, pragnąc go silniej znów ku sobie przyciągnąć i wybić mu z głowy niewczesne zamiary, z którymi się wymówił zrazu; skinęła nań i chwyciła. Wiedziała czém go ukołysać, czém ująć i przyneść; uczyniła się piękną, ponętą, zamyśloną, i posadziła niewolnika u boku swego, dając mu oko, ręce, a głowę niedbale skłaniając na jego ramie.

I czarodziejka zawładła nim znowu z łatwością,

a pan Adam zapomniał, że przed chwilą srożył się na nią i wypędzał.

Tak mu było rokosznie z tą główką zbliżoną do ust jego i spoczywającą przy piersi, w atmosferze jój oddechu i wejrzenia... Zamilkli oboje.

A w téj chwili, dwoje strasznych oczu czarnych przez gałęzie bzu i szyby okna wkradły się do przyciemnionego pokoju, i poczęły w nim zapalczywie szukać, na kimby spoczęły.

Dziewczyna jakby ich ukłucie poczuła nad sobą, wstrząsła się i poruszyła, niewiedząc sama co ją zbudziło śród gnuśnego jakiegoś marzenia; zerwała się, ale już było zapóźno!

Tumry, który śledząc jój kroki przybiegł za nią do dworu, szpiegując ją i Adama, zobaczył ich oboje w niemych spoczywających uścisku, i ściskając pięście odskoczył od okna zajadły.

— A!—zawołał—zabiję ich oboje! zabiję, podpale dwór, puszczę w popiół wioskę całą... niech giną! Ta nędznica zwodzi mnie, zwodzi jego, radaby męczyć świat wszystek! Za co ten człowiek ma ją sobie przywłaszczać? za co on tak szczęśliwy? ja tak nędzny, za co ci gadziowie mieć mają nawet z naszego dobra najlepszy kąsek! Przeklęci!

Mówił a patrzył, choć obraz który miał przed oczyma, palił go zemstą i boleścią: i nasyczał się nim, oderwać niemogąc od widoku burzącego mu piersi. Aza tymczasem podniosłszy głowę, spuściła ją znowu na ramie obłąkanego Adama.

Dumali tak we dwoje, i z ust cyganki naprzód ledwie dosłyszana, cicha, wyrwała się piosenka lat jej młodych, dobrze znajoma Tumremu, budząca w nim wspomnień tysiące. Powoli wysnuta z ust i piersi: ożywiać się poczęła, stawiała coraz głośniejszą, coraz weselszą, nową męczarnią karmiąc cygana. Bolał a oderwać się nie mógł; niewyraźne słowa, które sam tylko rozumiał, pełne ognia i namiętności rozpasanej, chwytał uchem, polykał z oddechem, bojąc się stracić jednego.

Czegoż-bo tam nie było w téj dziko-tęsknej a miłosnej do szalu pieśni cygańskiej!!

Tumry przypominał sobie wszystkie miejsca, gdzie kiedy w życiu ją słyszał; całą swoją dolę od kolebki, i cierpienia młodości, i losy swoje i Azy, która pod okiem jego rosła z dziecięcia w dziewczkę, dziewicę, w czarodziejkę!

I zapomniawszy gniewu na jedną chwilę przelotną! zadumał się, z kąd mu przyszła ta niespodziana

miłość, której wprzód nie czuł w sobie ani zarodka; z czego się urodziły tęsknice za żywotem niedawno dlań przeklętym i nienawistnym, i jak się mógł zmienić tak bardzo, by tak strasznie nieszczęśliwym zostać???

— A! to są chyba czary — rzekł wzdychając — to urok rzucony na nieszczęście i zgubę moją, to zemsta romów. Wleli w jéj oczy jad, żeby z nich spłynął w serce moje! Chcą zatracić mnie, i żonę, i dziecię moje, nasyłając na nas oblędy, tęsknice i głupie pragnienie! Aza powoli zabije mnie jak wąż wzrokiem; nie żyłaby prawdziwa krew cygańska, gdyby czegokolwiek od kogo nie kradła!

— Powrócę do chaty! — zawołał odwracając oczy. — Ale w tém nowa zwrotka pieśni przedłużającej się jeszcze, doszła do jego ucha, i zastanowił się Tumry.

Jak we śnie ciągnęły przed nim mary poczepiane do słów piosenki, i głębiéj coraz a głębiéj cofał się, za niemi do dni dzieciństwa, spieczoną głowę w dygoczących ściskając dłoniach....

— O! przeklęta! przeklęta! — wołał — ona czuć musi i wiedzieć, że ja tu jestem, że jéj słucham, i pieśnią przykuwa mnie do siebie, trzyma, a serce wy-

dziera! Pójdę! — I począł uciekać, ale drżały pod nim nogi, i na siłę przemagając urok, który go trzymał u okna, powlókł się do swojej chaty,

Tu pusto było i smutno jak zawsze, ale stara Jagga wróciła była do obozu, i Motruna ściągnęła się z łóżka z dzieckiem u piersi, rozpoczynając drugą część życia, którego pierwszej chciała zapomnieć. Stała się już matką tylko i żyła dla téj dziewczeczki, która w snach powicia nie wiedziała jeszcze, na jaką przyszła w świat nędzę.

Zaledwie wstawszy na nogi, potrzeba było Motrunie znowu począć myśleć o chacie, o dziecku, o mężu który codzień beczynniejszy, bezwładniejszy, mniej jęj dopomagał, całe dni trawiąc przyrosły do ławy i jakby napół senny.

Jeszcze chora, poniosła naprzód dziecinę do chrztu, a nie było jęj komu za kumów posłużyć i dwoje dziadów musiał ksiądz wezwać prawie siłą do tego obrządku, bo nikt z dobrej woli kumać się nie chciał z cyganichą.

Z niemowlęciem u piersi, biedna Motruna powlókła się potem pod drzwi ojcowskiej stodoły, spodziewając się tam znaleźć może młodszego brata.

Szczęściem dla niej, wychodził właśnie z kulem słomy na plecach; gdy mu zastąpiła drogę.

— O! Filipie braciszku — zawołała, chwytając go za switę — zaczekaj chwilę, niech choć twój głos usłyszę.

Filip się uląkł siostry, ale zatrzymał.

— Czego ty chcesz? — spytał.

Motruna poczęła od płaczu, za którym ledwie przemówić mogła.

— Patrz — rzekła nakoniec — miejcie litość, kiedy nie nademną, to nad moją dzieciną. Nie mamy już co jeść w chacie. Tumry opuścił ręce, jakby go na śmierć prowadzili, do niczego się nie bierze. Jeszcze na biędę cyganie przyszli i głowę mu zawracają; pełna ich chata! Ja się tak boję, a on ani zważa.

— A cóż ja ci na to poradzę? — spytał Filip.

— Dajcie co choć dla dziecka! Ja głodna, i ono się nie pożywi odemnie; gdyby choć mleka kropelkę, gdyby choć co dzień kawałek chleba!

Filipowi łzy zakręciły się pod powieką, jakoś mu serce zastukało w piersi, i zawołał nienamyslając się długo:

— No! chodź za mną!

Skwapliwie rzuciła się za nim Motruna, z trochę słabiej nadziei. Filip dźwigając słomę, wprost zmierzzył ku chacie, a posłyszawszy siekierę Maxyma, ładującego wóz pod klecią, zrzucił kul z ramion, i skinął na siostrę, by szła z nim razem.

Zdawało mu się, że dość było biedną Motrunę pokazać bratu, żeby w nim litość obudzić. W istocie nie byłoto już owe śliczne, hoże, rumiane dziewczę, o które wszyscy parobcy we wsi rozbijać się myśleli; zwiędła, blada, schorowana i zamęczona, starą się stała przedwcześnie, a ślady wdzięku i młodości starły cierpienia do szczeru, wyniosło z sobą znużenie.

Gdy Maxym podniósł głowę na głos Filipa i zobaczył siostrę, nie poznał jej zrazu, tak straszliwie ujrzał ją inną. Ona przybliżyła się do niego, ukazując dziecięcą zapłakaną, i słowa powiedzieć nie mogąc do nóg mu upadła. Maxym odstał kilka kroków.

— Po co ty tu? — zapytał, dodając sobie gniewu, którego nie miał, bo go złamał widok tej nędzy.

— Żebyś zobaczył, coście z nas zrobili — odparła Motruna.

— My? — rzekł jękając się Maxym — nie my, ale

wy sami? A pocóż się było sprzeciwiać woli ojca? Pan Bóg cię skarał Motruno!

— A! czyż już kary nie dosyć?

Maxym cały był pomieszany; widać było, że sam nie wiedział jak sobie poradzić i szukał sposobu, by się z tego przykrego położenia wywikłać.

— Ratujcież mnie choć teraz—odezwała się Motruna—jeżeli nie czém inném, to chleba kawałkiem, bo i tego nie mam.....

— Chleba już nie nadawać—odpowiedział Maxym, a i u nas go nie ma nadto: rok był nieomłotny, a u nas semia duża; ledwie do nowego wystarczy. Na co się wam upierać i tu koniecznie siedzieć, kiedy gdzieindziej zapracować możecie?

— A chata? a sadyba?—spytała siostra—a tyle naszego harowania koło niej? Zresztą mój bracie, jak mnie tam pójść w świat za nim?

Nie chciała powiedzieć biędna, że go się codzien więcej lękała: tak się jój zmienił, tak zdziczał, tak zcyganiał.

— Filipie—rzekł Maxym—dajcie jój miarkę żyta; tylko żeby żonka nie widziała, bo i u nas niewiele, a gęb dosyć... Idźże już Motruno!

— I tak mnie odprawiasz, bracie?

— No! no! — dorzucił Maxym — bylebyś się cygana pozbyła, choćby poszedł do licha, byłaby może jaka rada;..... ale z cyganem my nigdy nie będziemy mieć druzby, to darmo! Ojciec przykazał, gromada postanowiła, pan prosił i naglił, a nie ustąpiliśmy, to i nie ustąpimy!

Jakkolwiek Maxym nic nie obiecywał, sama zmiana mowy jego zapowiadała, że się wahał i chciałby coś zrobić dla siostry; nie nalegając więc, odeszła Motruna spokojniejsza po żyto, myśląc przyjąć później i zostawując je umyślnie, żeby po nie do chaty i braci drugi raz zajrzeć miała prawo.

Na drodze spotkała się z Jankiem, który kulawego i upartego wołu pędził powoli ku zagrodzie.

— A z kądżeto Motruno? — zapytał przyjaciel — i dokąd to kochanie idziecie?

— O! jak my ciebie dawno, pocziwy Janku nie widzieli — weselój odezwiała się kobiéta!

— Nie mam ja tam poco chodzić do was — bez ogródki odparł chłopak. — Myślałem z początku że to co pocziwego ten twój cygan, a to taki szelma jak i drudzy... Żebym był tobą porzuciłbym do licha niewiarę, niechby sobie wędrował ze swojemi, albobym poszedł i niewrócił, bo nie ma po co.....

Motruna cała drżąca stanęła.

— Cóż on zrobił? — spytała — ja nic nie wiem?

— Dobra z ciebie kobieta żeś ślepa; chciałbym i ja wziąć z kąd taką żonę! A toć ten łajdak za cygankami lata jak parobek, domu nie pilnuje, a co mógłby do Rudni pójść na zarobek, to się to włóczy po polach, albo w chacie drżemie. Już ja tam do was i nie zajrzę, bom zły; bywaj mi zdrowa Motruno!

To mówiąc podniósł gałąź na wołu, który się paść zaczął, podpędził go i poszedł dalej.

Powierzchu patrząc na życie, jak potężne w niém różnice, jak wielkie stopniowanie losów w różnych klassach społeczności, a w miarę ich wykształcenia i obyczajów, jak pozornie odmienne uczucia zajęcia namiętności. Ale wewnątrz otarłszy z szat misternie narzuconych czynności i sprężyny ruchów, jak dziwnie na jedno bolejem wszyscy; płaczem, raduję się i umieramy jednakowo! Też same tu i tam choroby serca, też boleści duszy i ułomności natury, te same nadzieje i zawody... W ich objawieniu się na zewnątrz cała różność tylko; w głębi, człowiek człowiekiem wszędzie, i dlatego na najniższym szczeblu społeczeństwa prawdziwszy tylko, dobi-

tniejszy, ale ten sam znajdziemy obraz co w górze. Pozmieniane nazwiska, pochrzczone przystojnięć czynności, poprzybierane namiętności wstydlive; ale je poznasz po skutkach — wszędzie toż samo i toż samo.

W chacie wieśniaczęj tylko mniej komedyi, na którą nie ma czasu, lub komedia odegrana nieuczono, instynktowie, jak owe włoskie improwizacye sceniczne: a w pałacach sceny dłuższe, rozwiązania mniej burzliwe, choć czynność ta sama.

Rzadziej wprowadzie pod strzechą słomianą rodzą się gwałtowniejsze uczucia; ale raz powstawszy śmielęj i rączęj idą do celu, niż tam, gdzie wszystko przywykło ukrywać się i maskować.

W chacie Tumrego nie było pokoju, nie było marzonego niegdyś szczęścia; już przed przybyciem cyganów wyгнаły je wspomnienia, zawsze następujące po nagłej a zupełnej życia zmianie, w którą człek rzuca się nieuważnie, a odpokutować musi żałami i tęsknotą. Serce Motruny od narodzenia dziecięcia do niego należało wyłącznie, a Tumry z obojętniony, ostygły, ku sobie już go nawrócić nie mógł. Motruna domyślała się przywiązania jego do Azy, o którym i stara Jaga jęj plotła nieuważnie; ale

nadto była harda, żeby ze słowem wymówki odezwać się miała. Boleść swoją zamknęła w sobie, i cała poświęciła się dziecku, wyrzekłszy się innej przyszłości, przewidując zawczasu, że ten, dla którego wycierpiała tyle, porzucić ją musi i stać się niewiernym.

To poddanie się losowi, Motruna winna była instynktowemu wyłącznemu przywiązaniu do dziecienia, w którym potrafiła zamknąć życie całe.

Tumry téż od téj nocy, w której powstał z łoża nieprzytomny, ścigając obóz cygański, tak był obojętny, tak zimny, tak dziwnie zmieniony, że próżném się zdawało chcieć go dawnemu i czynnemu życiu przywrócić. Jak gdyby wysiłek pracy go zmógł, jakby upadł na siłę ostatku, błakał się bezczynny, zdziczały; nie widząc nic wkoło siebie, nie słysząc ani śpiewu matki nad kołyską, ani płaczu dziecienia. Nigdy z troską ojca nie pochyliło się czoło jego nad niemowlęciem, na które roztargnioném patrzył okiem; krzyk jego budził go czasem, ale do serca nie dochodził.

Motruna więc choć niby nieopuszczona przez niego, w istocie sama była na świecie; a słowo litości

starszego brata, wątłą, jedyną dla niej zostało podporą.

Cygan to chmurny siedział na ławie, to latał całemi dniami szpiegując Ażę, klnąc ją, ale szukając czarownicy.

Ostatniego dnia, gdy przytulony do szyby zobaczył ją z głową zwieszoną na ramie Adama, gdy pieśń stara cygańska rozkołysała nim do reszty; nie miał już siły powrócić nawet do domu, choć go tam wołało sumienie. Poszedł do chaty, odetchnął jęj ciężkiem powietrzem, i wybiegł w pole jak pies oszalały, kręcąc się bez celu, i nogi go same powiodły pod obóz cyganów.

Gromadka *Romów*, pod nowém panowaniem Puzy, wystawiała jeszcze większego nieładu obraz, niż przedtém; a Aprasz, dawny jęj dowódzca, z uśmiechem szyderstwa spoglądał na to, co się tu działo. Ale i on także zmienił się do niepoznania w krótkim przeciągu czasu. Zdawał się zgadzać ze swoim losem i spodziewać czegoś od przyszłości razem; posługiwał milcząc tym, którzy go wczoraj słuchali ze drżeniem, i niekiedy tylko błysk oka, ruch ust zdradzał niewygasłe uczucie dumy, lub zemsty pragnienie. Pod namiotem niebyło ruchu jak dawniej;

miech leżał wywrócony, kowadło było na wozie, narzędzia kowalskie na kupę zwalone; nikt nic nie robił prócz Aprasza i kilku starych bab, krzątających się dość leniwie i kłótliwie koło kociołka. Wszystkiego dostarczano ze dworu, a ufne w opiekę Azy stare cyganki, dokazywały po wiosce, wydzierając co mogły i panosząc się łatwowiernością ludu, z którego się śmiały.

Puza jako nowy pan, nadużywał swęj władzy i swobody świeżo zdobytej, całe dni nekając Aprasza, lub z fajką w zębach spędzając je u ogniska na drzémaniu.

Gnuśny spoczynek podobał mu się i całej bandzie, a dzieci nawet korzystały z niego, bezkarnie plądrując po okolicy. Aza, która rzadko i na krótko zaglądała do obozu, nie postrzegła co się tam w nim działo: ale codzień widoczniejszém było, że wkrótce zabraknie Aprasza, i Puza nie potrafi rządów w nieprzywykłej trzymać dłoni.

Tumry przywłókłszy się pod obozowisko, zastanowił się przy *werdenie* (wozie), pod którym na gołej ziemi, sparty na żylastém ręku, leżał samotnie opodal od drugich stary Aprasz. Spojrzał na niego spotkały się ich oczy, ale oba byli zarówno nie-

szczęśliwi : i dawna ich nieprzyjaźń zagasła w sercach, przybita nowemi silniejszymi wzruszeniami.

W wejrzeniu ich nie było gniewu i nienawiści. Stary cygan zobaczył na twarzy Tumrego tak wyraźne ślady znękania i rozpacz, dochodzącej prawie do obłąkania, że się uczuł dość za dawne przewinienia pomszczonym; a Tumry widząc upokorzonego *dados*, w najgorszym miejscu na gołej leżącego ziemi, nie miał już serca więcej mu najgrawać się.

— Ha! — rzekł z cicha uśmiechając się Aprasz — zabłąkałeś się tu znowu, trudno ci już usiedzieć w chacie!

— Nie lepiej tobie w obozie! — odparł Tumry.

— A kto wie? — rzekł *dados* — tybyś się może jeszcze na moją biędę pomieniał.

— A ty na moją? — spytał młodszy cygan.

— O! nie! — odrzekł dumnie trzęsąc głową dowódca — jam jeszcze dziś swobodniejszy od ciebie! Chciała ta *byńk'a ciał*, chciała gromada, żeby Puza dowodził: niech poprobuja, zobaczymy co będzie dalej. Męczą mnie jak mogą, alem ja do pracy przy-

wykl; łaja, ale ich nie słucham i śmieję się. Cóż mi tak złego zrobili?

— Jakto? nie przeklinasz swojej doli? — spytał Tumry.

— Na co tu kląć, gdzie potrzeba cierpieć! *Bukelisom* mi nie dokucza (głód), *piri* (garnek) co rana i wieczora przy ogniu, a pełen; nie jednoż mi wodę nosić i drwa rąbać lub kuć młotem!

— Ale ich słuchać!?

— Prawda — począł stary cygan — temu co rozkazywał całe życie, słuchać zrazu nie lekko; ale jakoś i tego nauczyć się można.

Tumry westchnął.

— A stracić nadzieję, kiedy się ją miało, jak ty coś Azę w rękę trzymał?

— *Egaszi* jest jak *gweka* (kobieta jest jak wąż) — odparł Aprasz powoli — któż ją kiedy miał w rękę? Trzymasz; aniś się opatrzył jak ci się wyśliznie i ukąsi.

— Chybaś jęj nie kochał, stary?

— A tyś ją podobno pokochał zapóźno — szydząc odparł zmęczony dowódzca. — Dla mnie to była nie pierwsza miłość; tyś się na swojej nie poznał, ja tę chorobę nieraz już przeboleiałem; ty do-

piéro na nią chorować zacząłeś. O! o! nie zazdro-
szczę ci, bo jeżeliś ją pokochał, to ci zaleje za skórę.

— To szatan kobieta! (*Bynk egaszi*) — zamy-
ślony odparł Tumry — któż wie co ona myśli, kto
wie kogo kocha, kto powie co zrobi jutro!?

— Jak kobieta — rzekł Aprasz zimno — a któraż
z nich inna? — Czy *Ranni*, czy *gdzia* (cyganka,
czy obca), wszystkie one jednakowe, jednej matki
córką.....

— Nie, takiej jeszcze na świecie nie było!

Aprasz przewrócił się na drugi bok i rozśmiał
się głośno.

— Lata do obozu, lata do dworu, wabi kogo spo-
tka, nęci każdego, a z kamienia sama.

— Zachciałeś: młodość w niej szaleje! Jabym
jój to wszystko darował, gdyby tylko chciała być
moją!!

W tych słowach przemawiało samolubstwo sta-
rości, która się spodlić gotowa, by jeszcze użyć
choć trochę. Tumry porwał się oburzony, nie poj-
mując tego uczucia.

— Ja! jabym ją za to zabił, gdyby moją była!

— Toś ty widzę naprawdę dla niej oszalał, 'Tum-
ry! Dobrze ci tak! — rzekł Aprasz.

Cygan umilkł.

— Z kolei—dołożył szydząc Aprasz—może kiedy będzie i twoją, gdy jej paniczne nie zechcą, a przyjdzie do głowy przytulić się do cygana i zagrząć się przy czarnej jego piersi.

— Nie! nigdy!—gwałtownie przerwał młody cygan—bo gdyby potem uśmiechnęła się tylko innemu, tobym ją jak psa zabił!

— Gdybyś jak ja miał z górą pięć lat dziesiątków—powoli odpowiedział Aprasz, przeżuając liść tytuniu—inaczejbyś patrzył na te rzeczy. Nie widziałeś Azy po wyjściu ze Stawiska i twojej ucieczce, to nie wiesz jeszcze, jaki to szatan dziewczyna! Nie policzyć ilu chłopcom sprzedawała pocałunki i uśmiechy po drodze, ilu ich wlokła za sobą i jak im przewracała głowy. Nieraz i mnie staremu zazdrość poczyniała gryźć serce spróchniałe; alem sobie mówił zaraz: byleby moją była, darowałbym jej to wszystko! Bo w istocie ten szatan zwodzi tylko żeby męczyć, ale nie da się wziąć nikomu. Zda się, że szalenica jak jeść, pić i oddychać, tak zwodzić, męczyć i drażnić potrzebuje; łapałem ją nieraz jak poczwarnego Puzę i prostych chłopów

czarowała oczyma, żeby tylko nie próżnować, a potem, potem na całe gardło się z nich śmiała!

Tumry potarł kroplami potu zroszone czoło.

— Więc jój na chwilę wierzyć nie można?

— Wierz jój gdy zła, ale gdy ci oczyma powiada o sercu swoim, ustami zaręcza że kocha: — pluń jój w twarz jak kłamcy, bo kłamię!

Cygan wstał z ziemi i westchnął, a Aprasz z pod wozu spojrzał tylko za odchodzącym, i tak się zostali milczący.

Znowu błędnym krokiem włókł się Tumry bez drogi, stając, zatrzymując się, biegnąc jak szalony....

— Ha! — wołał sam do siebie — nie ma co myśleć dłużej: potrzeba skończyć, kiedy tak żyć ciężko.. Widziałem jój głowę na piersi tego zgnilego trupa, i nie chcę nic widzieć więcej. Ani mi powrócić do cyganów braci, ani żyć z *gadziami*, którzy jak psa odpychają. Ot! stryczek na szyję i *Bynk'u* oddać duszę...

Myśl ta, która już nieraz przeleciała mu przez głowę, teraz w niej silniej niż kiedy uwieczła. A życie stało się dlań tak ciężkiem i nieznośnem, że dać dźwigać go nie mógł. Motruny nie kochał, dzie-

cię dłań było obojętne, nędza dojadła, Aza zdradziła; na jutro nic nie zostało, prócz śmierci.

I lżej mu się zrobiło po tém postanowieniu, jak człowiekowi, który płynąc po długiej burzy na morzu, nareszcie choć brzeg skały zobaczył.

Uśmiechnął się dziko i schwycił za pas czerwony, który już w myśli za stryczek sobie przeznaczał. Był to wełniany pas, wysnuty i ufarbowany ręką biednej Motruny — i żona przyszła mu przezeń na pamięć.

— I jój téż lżej będzie, rzekł w duchu: bracia ją przyjmą, dwór i gromada, byle cygana niestało, wykarmią sierot dwoje! I ta nie zapłacze po mnie; na cóż żyć, żeby ludziom ciężać i sobie!

Obejrzał się po niebie i po świecie, a chmurno jakoś było, i wietrzno, i smutno jak w przeddzień śmierci: w mrokach i we mgłach okolica wydawała się pustą i dziką. Już miał odpiąć pas i sięgał poń szukając okiem gałęzi, choć w około czyste rozciągało się pole, gdy żywy krok dał się słyszeć, i z za pagórka wybiegła pędem lecąc Aza.

Tumry aż odskoczył gdy ją postrzegł, i włos mu się najeżył.

— A ty tu?—zawołała z uśmiechem — chodzileś widzieć do obozu; czyś czekał na mnie?

— Czekałem na ciebie — gorzko odpowiedział cygan — żeby ci w oczy plunąć raz jeszcze, i więcéj nie widzieć!

— Co ci się stało Tumry?

— Nic, tylko byłem pod oknem dworu, kiedyś śpiewała:

„*Tłowawa jag...*” (1).

— I słuchałeś pieśni? — spytała obojętnie dziewczyna.

— I patrzałem jakieś spoczywała na ramieniu *Raja* Adama...

— Trzebaż było dopatrzeć do końca — z gniewem odpowiedziała Aza — byłbyś widział jakieśmy się rozstali!

— Lub jakieście się zeszli? — spytał cygan z pogardą.

— Tumry, tyś doprawdy oszalał! — tupiąc nogą z gniewem przerwała cyganka.

— Nie, alem się wytrzeźwił — krzyknął Tumry — i myślę skończyć dobrze!

(1) Początek cygańskiej pieśni od słów: „Palić ogień.”

To mówiąc rwał w rękę swój pas czerwony.

— Ale doprawdy głowa ci się zawraca! — poczęła Aza przestraszona rozgorączkowaną twarzą i ponurym wzrokiem Tumrego — co ty myślisz?

— Myślę pójść do lasu i powiesić się — rzekł cygan spokojnie. — Jak ci się zdaje, wszak dobrze zrobię?

— Dlaczego? dlatego że się dała uścisnąć temu schorzałemu, staremu dziecku! — odparła kobieta.

— O! o! nie myślno znowu, żebyś się wieszał dla ciebie — przerwał Tumry, wciąż rozwiązując pas, którego rozplatać nie mógł — dość mi i bez tego życia dojadło, a tyś tego niewarta!

Aza stała coraz bardziej przestraszona, i postrzegłszy, że gniew nie pomaga, że rozkaz byłby daremny, poskoczyła z namietnością do cygana; ale Tumry zdala ją odepchnął wzrokiem i ręką.

— Precz gadzino! — rzekł — precz! Idź, sprzedaj się komu chcesz i za co chcesz! Ja nie mam cię kupić za co!

To mówiąc odwrócił się i pobiegł w las, do reszty oszalały i rozmarzony boleścią.

I znowu leciał przez pola, jak niegdyś do obozu cyganów, a nie czuł jak przebiegał przestrzenie, nie słyszał krzyku dziewczyny, która goniła za nim, nie wiedział kiedy ciemna gąszcz lasu go otoczyła: skronią uderzył się o pień dębu i upadł krwią zlany...

Po nad nim szumiał wicher i burza, łamały się gałęzie, przelatywały kruków stada, spędzone zawieją dżdżystą; Tumry w odrętwieniu całą noc tak na mokrej przeleżał ziemi. Dopiero ranek i świtanie, chłód dnia i znużenie ostateczne, otworzyły mu oczy senne i oprzytomniły nieco. Ale z pierwszym blaskiem zorzy, myśl wczorajsza zakończenia samobójstwem przypała się znowu wracając do serca.

Chwycił pas czerwony, którego nie puścił z dłoni ściśniętej konwulsyjnie, i błąkać się począł szukając drzewa, wybierając gałęzie; gdy wtém przyszła mu na pamięć owa opuszczona buda w lesie, którą mu Janek pokazał, i poszedł szukać przekłętogo miejsca na czynność przekłątą.

Ale obłąkanemu niełatwo było pokierować się w borze, którego głębi nigdy nie znał dobrze, a teraz znaleźć się w nim całkiem nie umiał. Szedł i powracał, błądził, nużył się do ostatka i byłby może skończył na pierwszej krzywej sośnie, gdyby

stara chata rozwalona niepokazała się jakby cudem nagle, wśród gęstych zarośli.

Stanął więc nareszcie u kresu i uśmiechnął się sam do siebie, poczynając szybko szukać miejsca w upadliskach przegniłych stariej budy strażniczej.

Jedna z belek, na którą pas zarzucić nie było trudno, trwalsza jeszcze od innych, które już zbótwiały leżały, zdała mu się jakby umyślnie pozostała dla niego; i nie wahając się więcej, rozwinął pas czerwony, końcami jego opasując ją zręcznie.

Wtém, gdy stryczek wiąże i rozszerza, a węzeł mocuje, usłyszał dziwny śmiech za sobą.

Spojrzał przełękły: na pniaku wprost przeciw budy, której ściany całkiem się były rozwalily, i słupy tylko trzymały jeszcze skielet budynku, głupi Janek zasiadł, patrzy i śmieje się.

— Dobry dzień ci cyganie kochanku—zawołał Janek, kłaniając mu się dzinrawym kapeluszem słomianym—choć raz przecie rano do roboty wstałeś! A co? jak to dobrze, żem ci miejsce to pokazał, jakby umyślnie na urząd zrobione dla ciebie!

Tumry stanął osłupiały, puszczając z rąk pętlicę.

— Nic! nic! nie przerywam—kończył parobek—nie przeszkadzam, rób swoje: chcę się tylko przy-

patrzeć, jak się to robi, na przypadek gdyby się to i mnie przytrafiło kiedy. Rób, kochanie, swoje, ja cię pewnie nie oderżnę, nawet kozika nie mam w majtku!

Cygan znów ręką drżącą począł wiązać, rozwiązywać pas, i jakiś go wstyd ogarnął.

— Ja zawsze myślałem cyganku kochanie—mówił dalej powolnie Janek—że ty musisz tak kiedyś skończyć; ale się nie spodziewałem, żebyś to sam sobie przyrządził, i tak pośpiesznego! No! no! to i lepiej: kończ, kończ, nie bałamuć; ja dopiero jak dobrze zastygniesz, dam znać do wioski, żeby darmo nie wiedzieć gdzie nie szukali.

— Pójdźże precz Janku—krzyknął cygan—nie najgrawaj się ze mnie w ostatniej godzinie.

— A któżbyto śmiał z takiego wielkiego pana, co życie ludzkie trzyma w ręku, żartować sobie?? Godziłożby się to?—spytał Janek—Cyganku kochanie, nie sromaj się przedemną, my dawno znajomi: rób swoje!

— Janku, daj mi umrzeć spokojnie! — wyjąknął Tumry.

— Alboż ja przeszkadzam? chowaj Boże! Gdybyś się mnie spytał co masz robić, jabym ci był toż sa-

mo poradził! Motrunie, świętej kobiécie, pewnie lepiej będzie bez takiego darmożjada; a tobie wygodniej na stryczku niż w chacie, po której głód za tobą chodzi krok w krok jak u siebie...

— Ale ba!—rozśmiał się Janek po chwili milczenia—tyś filut: płaczesz, płaczesz, a powiesić się nie potrafisz! Jabym ci z serca pomógł, ale powiadają, że za to bięda być może; dawaj sobie sam rady! Nie mądraż to rzecz kulkę zrobić, szyję włożyć, a pod nogi lada pniaka podsunąć—i...—

Tumremu słowa te szumiały tylko w uszach jak szelest leśnych gałęzi; rozumiał tylko, że w nich było urągowisko.

— Ale ty bo cyganku kochanie—kończył zimno Janek—tylko sobie żartujesz i próbujesz, a darmo mię zwodzisz! Tyś widzę tchórz i tego nie zrobisz!

Ostatniemi słowy, które doszły do uszu Tumrego, dopełnił miarki parobek. Cygan nie patrząc już na niego, nie słuchając go, żywo założył głowę w stryczek, odrzucił nogą zgniły kawałek belki, na który się spiał sięgając do węzła—i zawisł z okropnym miotaniem się w powietrzu.

Parobek ani mrugnął, wstał po chwili, uklonił się trupowi, i powolnie zwrócił się drogą ku wiosce.

— Dobrze zrobił, — rzekł w duchu do siebie — na co mu było żyć, kiedy i sobie i drugim na nic się nie zdał, zawałidroga! Sprawiedliwy człowiek, osądził się, i sam bez kłopotu wyprawił duszę do piekła! Motrunie i sierocie lepiej będzie, a cygana niewiary nie pożałuje nikt... prócz mnie może. Nie zły byłby człowiek, gdyby się cyganem nie urodził, bo jak chatę budował, to było na co patrzeć; i gdyby go ta szatanica z czarnemi oczkami do reszty nie zbałamuciła kto wie!!...

— Ale pod koniec ja sam miałem ochotę zarzucić mu stryczek na szyję, bo żonę zamęczał: ni wprzód ni nazad z takim bestyą, a tak ot! i keniec. Wdowa! albo się kto z nią ożeni, albo sobie i tak da radę!

To mówiąc Janek narzucił na plecy trochę gałęzi, które był wprzód przysposobił, i śpiwając coś pod nosem, spokojnie, powolnie powlókł się do domu.

Późno już w noc Motruna siedziała w chacie przy ognisku, kołysząc dziecinę w zawieszonym od pułapu koszyku, który dla niej zawczasu przygotował głupi Janek. Smętna jakaś śpiewka lat młodych

zabłąkała się na jej usta dla uspienia niemowlęcia; ale myśl daleko była od pieśni!

Cały dzień prawie nie widziała Tumrego i niepokój poczyniał ją chwytać za serce; choć teraz od przybycia cyganów, codzień mniej, codzień rzadziej przebywał on w chacie. Zwykł był jednak zawsze choć na noc do lepianki swój powracać, a słowa czasem nie przemawiając do żony, zasypiał przynajmniej na ławie, i Motruna słyszała go stękającego w snach burzliwych.

Pora powrotu zwykłego do domu dawno była przeszła, na dworze był wicher ostry, burza jesien-
na trzęsła kruchą lepianką, a biedna kobieta coraz troskliwiej otulając dziecinę, podsycając ogień, nastawiała ucha, czy w pośród szumu nie usłyszy skrzypu drzwi od sieni i stąpania na dworze.

Ale napróżno czekała, przysłuchiwała się, drżała, bo nikt nie przyszedł do chaty pod cmentarzem, i pomyślała wreszcie, że Tumry zanocować musiał z cyganami. Gdy dziecię usnęło, ona nie kładąc się zdrzémnęła także u ognia i kołyski. Sen to był jednak ciągle przerywany niepokojem; najmniejszy szelest przebudzał ją co chwila, i gorączkowym drżeniem do zaranja się męczyła. Spodziewała

się jeszcze, że Tumry powróci nadedniem: oczekiwała go, wychodziła wyglądać, a nie było i nie było.

Słońce weszło i podniosło się wysoko. Motruna uwijała się z dzieciną i ogniskiem, ale co chwila odskakiwała od nich do okienka, przez którego szłyby małe co jęj widać było, to do drzwi, przez których szparę pusta droga wyglądała tylko. Niepokój jęj poczynął dochodzić do najwyższego stopnia.

— Miałzeby już nigdy nie wrócić? — mówiła łamiąc ręce — miałiby go całkiem pochwycić i uprowadzić z sobą cyganie? Mógłzeby on mnie bezsilną, samą z dzieckiem porzucić na zawsze? A! to niepodobna! On chyba zachorował, leży gdzie w polu; może mu się co stało! Po trzebaby posłać, szukać; ale kogo prosić o to?

Przyszedł jęj zaraz na myśl głupi Janek, i byłaby pobiegła do niego, gdyby wiedziała gdzie go znaleźć. Wziąwszy nareszcie swój drogi ciężar na ręce, już się wybierała z chaty, kiedy w progu samym z starą się Jagą spotkała.

Nawet cygance rada była wśród tego niepokoju, i powitała ją szybkim pytaniem: •

— A! nie wiecie tam! nie wiecie wy co się z nim stało?

Cyganicha ruszyła ramionami, i zbliżyła się tajemniczo do ucha kobiety.

— Wczoraj wieczór był u nas był... ale jak szalony... Widzieli go potem latającego po polach... Aza mi powiedziała, że ją złapał, zbezcześcił za jakieś głupstwo, i odgrażał się, że sobie co złego zrobi.

— Ach! — krzyknęła Motruna, w której sercu odezwało się dawne przywiązanie, — biegnijmy go szukać.

Dalibyście pokój — wstrzymując ją za rękę odezwała się Jaga — to darmo! Co się miało stać, to się już stało, bo od wczorajszego wieczora do południa wiele wody upłynęło? Lepiej się przygotujcie zawczasu do płaczu, bo pewnie musiał sobie życie odebrać!

Jaga tak zimno i bezlitośnie wymówiła te słowa, że Motruna aż krzyknęła uderzona niemi.

— O ja nieszczęśliwa! ja nieszczęśliwa!!

— No! a cóż robić? — zimno poczęła baba. — Ot, jeszcześ młoda, radę sobie dasz i drugiego znajdziesz! Aby młodość!

Pociecha również była przerażająca jak domysł stariej cyganki; ale spojrzawszy na ten wyschły skielec, trudno się było po niej czego innego spodziewać.

— Ja muszę lecieć, pytać, szukać: może się błaka — zawołała Motruna: — i z dzieckiem na rękę, odepchnawszy Jagę, która je tymczasem wziąć się podejmowała, puściła się drogą po nad cmentarzem, nie wiedząc dokąd bieży.

Cyganka nie goniła za nią! a ledwie straciwszy z oczu kobietę, wśliznęła się zaraz do chaty jak wąż, by ją w niebytności gospodyni splondrować. Motruna, którą ścieżka powiodła ku cygańskiemu obozowi, wahała się co ma począć z sobą; ale pomyślawszy potem, że od cyganów coś się dowiedzieć może, i że oni jedni zechcą jęj dopomódz; skierowała się ku ich namiotowi.

Biedne jęj dziecko rozkołysane biegiem matki, która porzucić go nie mogła, poczęło płakać w drodze, ale cisnąc je tylko do piersi, już się dlań nie zastanowiła Motruna. Nareszcie zobaczyła ognisko cygańskie i spotkała Aprasza niosącego wodę w dwóch wiadrach blaszanych.

— Nie widzieliście Tumrego?—spytała zdyszana.

— Tumry—przyglądając się wynędzniałej kobiecie, rzekł Aprasz. — A! to twój mąż być musi; był on tu wczoraj wieczorem. Cóż? nie powrócił do chaty?

— Nie było go, nie było!—jęcząc odpowiedziała kobieta.

— To może go już nie być i nigdy!—zimno, idąc dalej, odparł cygan.

Motruna schwyciła tę okropną wróżbę i wiła się w miejscu, nie wiedząc co począć, gdyż Aprasza prosić o pomoc nie śmiała. Zwróciła się znów do wsi, przypomniawszy Janka; gdy na wierzchołku wzgórza otaczającego dolinę, zjawiała się blada, z rozognionym wzrokiem Aza.

Dwie kobiety zmierzyły się oczyma, i instynktem wzajemnej nienawiści poznały. Przybycie Motruny do obozu nadto było znaczące po wczorajszém spotkaniu cygana z dziewczyną, żeby ją uderzyć nie miało.

— Cóż się stało Tumremu?—zawołała Aza żywo podbiegając ku kobiecie.

— A tobie co do niego!—gniewnie odpowiedziała Motruna.

— Mnie!!—uśmiechając się gorzko odrzekła cyganka—chyba nie wiesz kto ja jestem?

— O! poznaję cię! — szydersko, może raz pierwszy w życiu odezwała się kobieta — tyś Aza.

— Tak, Aza jestem; ale gdzież Tumry? gdzie? co się z nim stało? Mów kobieto a prędzój!

— Ty lepiej zapewne wiesz o nim odemnie! — cofając się zawołała Motruna.

— Nie wrócił więc wczoraj? nie wrócił! — popędliwie poczęła pytać Aza.

— Nie wrócił! — cicho i posępnie powtórzyła echem kobieta, z której oczu ciekły dwa długie łez strumienie, a przez nie przecież oczy zbolale wpatrywały się ciekawie w twarz ślicznej cyganki.

Aza ręce załamała, i jak stała, upadła cała na ziemię, poczynając zawodzić po cygańsku, i ręce załamawszy nad głową.

Ten płacz istoty tak do niego nie stworzonej, do reszty przestraszył Motrunę: oniemiała z przerażenia.

— Ona wie, ona wie! — zawołała — co się z nim stało; ona go musiała zabić!!

Wtém Aza jakby odzyskując siłę i nadzieję chwyciła się na nogi, obejrzała wkoło, podeszła kilka kroków ku lasowi, i wnet obróciła się do dworu. Bieg jój tak był rączy i popędliwy, że Motruna ani

pomyśleć mogła ścigać za nią z dzieciąciem i osłabieniem swoim.

Powlokła się tylko płacząc drogą, którą była przyszła; a cała ciżba cyganów wywabiona krzykiem Azy, wybiegła z pod namiotu i wskazywała na nią palcami, szepcząc:

— *Tumry Egaszi!* (kobięta Tumrego) (1).

Aza wyprzedziła daleko Motrunę i znikła z oczu wszystkim, pędząc co najprędzej do dworu, cała oszalona myślą niebezpieczeństwa, a może śmierci Tumrego. Zdawało jej się, że jeszcze ratować go można; biegła więc do Adama, aby wysłał natychmiast na wszystkie strony szukać śladów znikłego cygana.

Straszna tą namiętnością tłumioną, która teraz w niej wezbrała; wleciała do pokoju, w którym pan Adam spoczywał, i przelekła go twarzą, jakiej u niej nigdy jeszcze nie widział. Zbladła, zmęczona biegiem, rozpaczająca, pochwyciła za rękę wczorajszego kochanka:

— Ratuj—zawołała—ratuj! Tumry cygan wczo-

(1) W języku cyganów, o ile mi wiadomo, nie ma wyrazów *mąż* i *żona*; jest to bardzo charakterystyczny niedostatek.

raj chciał sobie odebrać życie; dziś dotąd niema go w chacie, niema go nigdzie: wysyłaj ludzi, niech go szukają, niech znajdą!

— A cóż mię twój cygan obchodzi? — oziębło, z zazdrością prawie odezwał się powoli pan Adam puszczając kłęb dymu.

— Mnie! mnie on obchodzi! mnie! Słyszysz *Raj* Adamie—krzyknęła Aza targając go za rękę zimną — dam życie, dam siebie, tylko go każ ratować!

Adam spojrzał na nią nie ruszając się z miejsca,

— Oszalała—rzekł—cóż to! brat twój?

— Kochanek! mój jedyny, ukochany, ulubiony; ten, bez którego ja żyć nie mogę, nie chcę—wyrwało się z ust cyganki—ratuj go! Ratuj!

— A jeżeli tak, nie mam się po co spieszyć—rzekł pan Adam—będziesz teraz moją!

— Jeśli on umrze, i ja umrę, a niczyją nie będę! — krzyknęła boleśnie cyganka drąc z gniewu rąbek i suknię — wysyłaj ludzi, wysyłaj ludzi!

Zapał z jakim wołała, głośny krzyk jéj, już był cały dom poruszył. Słudzy zgromadzili się we drzwiach, a twarze ich zobaczywszy Aza, poczęła ku nim z błaganiem się zwracać, ręce łamiąc, płacząc i wzywając od wszystkich ratunku.

Ale dworska gawiedź nie mając rozkazu pana ruszyć się nie śmiała; a pan Adam siedział nieruchomym posągiem, i wąsika tylko poglądał. Co go tam jeden cygan obchodził!

— Słuchaj, ratuj go, a będę twoją—przyskakując i szarpiąc go, powtórzyła dziewczyna.

Adam się zimno uśmiechnął i jeszcze nie rzekł słowa. Cyganka próżno błagała, rzucała się i latała po izbie z rozpuszczoną kosą czarną; nareszcie chustką którą trzymała w ręku, uderzyła zniecierpliwiona po twarzy milczącego sybarytę, i wybiegła ze dworu z wołaniem rozpaczliwém, ciągnąc za sobą tłum ciekawych ludzi.

Co żyło, poczynąło gromadzić się, zbiegać i powtarzać zcicha słowa cyganki; wszyscy chcieli biedz szukać Tumrego przez samą ciekawość, ale nikt nie wiedział dokąd się obrócić. Nareszcie i sam pan Adam po zniknięciu Azy, rozmyśliwszy się, rozesłał ze dworu na wszystkie strony, aby szukano kowala. Rozsypali się tedy, każdy gdzie komu na myśl przyszło; a Aza skierowała się ku lasowi jakimś przeczuciem niewytłumaczoném... Kilku ludzi poszło za nią.

Nawpół drogi do boru, spotkali głupiego Janka,

który z wiązką gałęzi na plecach szedł śpiewając do domu. A że go widziano nieraz rozmawiającego z Tumrym, znano że żył z cyganem w drużbie; gumienno więc zatrzymał parobka, choć niewiele od niego spodziewał się dowiedzieć, bo jak inni, z powierzchowności sądząc, miał Janka za głupiego i nierozgarnionego.

— Słuchajno głupi Janek—spytał go — nie widziałeś ty czasem cygana, kowala.... Tego, tego, co to z pod cmentarza?

— Kogo, kogo?—udając głupotę, szydersko począł pytać Janek.

— A! kowala cygana, głupi Janku! z pod cmentarza.

— Cygana! Tumrego! Oj! oj! widziałem go pozawczoraj. wczoraj, a nawet.... (począł sobie przypominać) ot nawetem go dziś widział!

— Dziś? gdzież? gdzie?—pochwyciła Aza.

Janek nadto miał sprytu skrytego, żeby się wygadać zanadto i opowiadać rozmowę swoją, lub przyznać, że samobójstwa był świadkiem; odparł więc chłodno, skrobiąc się w głowę:

— No! a w lesie!

— Dawno?

— O! godzin już jakby ze dwie! Ono się na ranek zbierało.

— Co on tam robił?

— Albo ja wiem, co on tam robił? Może chodził po drewka, bo czegoś rozwiązany pas niósł w ręku; to pewnie chciał je zczepić... bo u niego i postronka nie ma w chacie...

Aza krzyknęła zasłaniając sobie oczy:

— Gdzież ty go spotkałeś?

— Czekajcie! Na Popowój niwie! Nie! nie! na Porosłaku! Nie! nie! w Lisich dołach; ale nie! ot jest! jest! dalibóg koło pustej budy!

Wszyscy więc szukający z Azą na przodzie, puscili się żywo w las drożyną ku pustej budzie wiodącą; a Janek podjąwszy drewka, posunął się dalej ku wsi, obejrzawszy się tylko na ludzi, którzy go mijali, z uśmiechem głupowatym.

— Ha! ha! — szepnął cicho do siebie — trochę za późno przyjdziecie! A! cóż ja temu winien! Niechby był pocziwój kobiety nie zamęczał: a teraz dobrze mu tak.

Z bijącym sercem biegła Aza, a ludzie ledwie z nią zdążyć mogli, wskazując jej tylko drogę, którą iść miała. Nierychło jednak dostali się do pustej

budy, bo ścieżynki do niej wiły się dziwnie po lesie, a krzaki tak je zarastały, że w wielu miejscach trudno się było przez nie przecisnąć.

Nareszcie Aza pierwsza wskoczyła na łączkę otaczającą zwaliska z téj strony, podbiegła co tchu do rozwalonej budy, i plasnęła w ręce z wrzaskiem przeraźliwym, ujrawszy wiszący trup Tumrego, na którego twarzy żółta, woskowa rozsiadła się już bladeść.

W mgnieniu oka, gdy reszta ludzi zebrana w kupę stała jeszcze nieśmiejąc się przybliżyć ku samobójcy, cyganka skoczyła na belkę i poczęła już targać węzeł utrzymujący szyję wisielca; a niemając noża by go rozciąć, pochwyciła zębami i rozgryzła jak nitkę.

Trup okręcił się, zadrgał, pochylił i padł z łoskotem zimnej bryły na ziemię. Aza już była przy nim i usta przyłożywszy do twarzy, a rękę do serca, ciepła w nich i życia napróżno śledziła. Już ich tam nie było! Twarde, zimne, skostniałe ciało, wyzionęło już ostatnią żywota iskierkę....

Cyganka czołem padła na ziemię i tak nieprzytomna pozostała przy trupie.

Ludzie poszeptali, obeszli go dokoła, pokiwali

głowami, namachali rękami, i zwrócili się dać co najprędzej znać do dworu, zostawując cygankę samą jedną nad ciałem kochanka.

Na rozstaju za wioską wykopano dół głęboki, i cichym wieczorem, parą wołów czarnych, przywieziono trupa Tumrego, któremu Janek zbił z kilku tarcic białą sosnową trumnę, bez księdza, bez ludu, bez płaczu, na wiekuiste mieszkanie.

Za wozem ledwie była garstka tylko; szła Motruna z dzieckiem u piersi, z zaschlém już od płaczu okiem, odprowadzając do mogiły nieszczęśliwą dolę swoją.

Za nią włókł się Janek, milczący, zgarbiony, zadumany, z rydlem na plecach, ze słomianym swym kapeluszem w ręku. Dwie stare cyganki mruczając coś pod nosem, otulone szerokimi płachtami, sunęły się także zdaleka za tym pogrzebem samobójcy! Nie było ani stypy, ani kuti, ani przyjęcia, ani żadnego z tych uroczystych obrzędów pośmiertnych, które ze słowiańskich jeszcze czasów pozostały u wiernego starym zwyczajom ludu wiejskiego.

A gdy woły zastanowiły się na pagórku u wysypanej ziemi, dwóch ludzi zniosło trumnę z wozu i rzucili ją w dół, nie mówiąc słowa.

Janek pierwszy schwycił za rydel i zasypywać zaczął, a dwie cyganki stanęły na brzegu przypatrząc się z odrętwiałą, głupowatą ciekawością narzucaniu ziemi, i powoli znikającej trumnie. Motruna bez jęku siadła na trawie, i podparta na dłoni, tuląc dziecko, które kwiliło z głodu, czy macierzyńską czując boleść; patrzała, patrzała na pracujących u grobowiska...

Już Janek z ludźmi dosypywał dół do wierzchu, i począł go ubijać nogami; już na nim i wzgórek zaokrąglać zaczęli, i darninę na pokrycie wycinać z blizkiego rowu, i cała robota powoli się skończyła. Odchodzący pierwszych kilka gałęzi suchych zwlekli wedle odwiecznego zwyczaju na mogiłę, jakby stos przysposabiając, do którego każdy przechodzień, dorzucać był winien choć suchy złomek jaki; już wreszcie rozchodzili się, a Motruna nie myślała wstać, ani się ruszyła z miejsca.

Cyganki, z nieboszczyka na nią zwróciły swoją ciekawość, i stanąwszy zdaleka, mruczały spoglądając na biedną kobietę; ale się im przebrała cier-

pliwość, i gdy ludzie ku wsi zawrócili woły i pociągnęli nazad: one także poszły za nimi. Jeden tylko głupi Janek pozostał przy Motrunie, pilnie się jeszcze zajmując niby skończeniem mogiły, którą to udeptywał starannie, to stos na niej porządkował, urządził, żeby go wiatr nie rozrzucił.

Oczy Motruny błędzące machinalnie po okolicy, zatrzymywały się to na nim, tą na grobie męża, to na głowie dziecięcia; ale znać było, że nic nie widziały. Kiedy niekiedy tylko popłynęła z nich łza jedna i zaschła na policzku, drgnęły wargi, przymknęły się oczy, ścisnęły ręce wkoło dzieciny. Janek spojrzał z pod brwi nieruchomej na Motrunę i wciąż pracował.

Poczęło zmierzchać powoli, niebo się zasepiło, a Motruna nie wstawiała.

— A co?—odezwał się długo wytrzymawszy Janek—chodźmy do chaty?

Motruna głową tylko potrząsała.

— Już ci tu nocować nie będziesz—dodał.—Jeszcze tobie jak tobie, aleć i dziecku na wietrze i słońcu nie zdrowo.

Matka skwapliwie przytuliła do siebie niemowlę,

i spojrzała na głupiego Janka, który nie był wcale tak głupi, jak się zdawał.

— O! pewnie — kończył Janek — że dziecku to zaszkodzi; a zresztą co tu robić? Jużemy mu usypali mogiłę, niechaj odpoczywa! Wstań i chodź Motruno.

Zarzucił rydel na plecy, włożył kapelusz na głowę i przystąpił do niej. Kobięta zakryła oczy, z których na nowo potok łez wytrysnął.

— Płakać — rzekł Janek — można i w chacie, a już coś noc blisko: dziecku zimno, trzeba iść, trzeba iść — powtórzył z przyciskiem.

— Dokąd? po co? — zawołała Motruna. — O dolo ty moja! o dolo! co ja pocznę!...

Janek niezważając na łzy i żale, ujął ją za rękę i dźwignął z ziemi, a zwróconą ku mogile lekko nakłoniwszy w stronę wioski, pociągnął za sobą.

Motruna obejrzała się raz jeszcze, chciała gałąź tarniny leżącą pod nogami rzucić na mogiłę; ale zachwiała się i upadła. Janek podźwignął ją znowu.

— Pamiętaj na dziecko — począł cicho — ono teraz na twoich rękach i na twojej głowie! Chodźmy do chaty, dość płakać!

Już się tak byli oddalili wlokąc z trudem i powoli, gdy Janek obejrzawszy się zobaczył jak cień prze-

suwającą się cygankę, która pędem wpadła na świeżą mogiłę, i siadła na niej, a raczej rzuciła się na nią.

Nie chcąc by ją widziała Motruna, przyspieszył kroku, i zagadując jęki które aż do nich dochodziły, coprędzej spuścił się z nią w głąb jaru, który wreszcie zakrył im mogiłę samobójcy.

Aza sama jedna pozostała na rozstaju z wyschlém okiem, przybita, nieprzytomna, dysząc namiętnością i rozpaczą pierwszą w życiu. Porywała się, biegła do koła wzgóрка, siadała na nim, wstawała znowu, ryczała jak zwierz dziki; i wśród krzyku jęj dobywały się z piersi to jęki niezrozumiałe, choć z tysiąca słów złożone, to okruczności jakiejs pieśni, to pytania, to wyrzuty i przekleństwa.....

Rzadko kiedy człowiek dochodzi do takiego stopnia rozpacz i szalu, jaki owładnął dziewczynę, nieprzywykłą ani tłumić uczucia, ani z niem walczyć dla oka. Zdawało się, że całkiem zapomniała o sobie, o jutrze, o świecie, a bolem swym żyła tylko. Niepodobną była do siebie: taka wściekłość malowała się na rozprężonych rysach jęj twarzy zbladłej, wywróconej, zmienionej potężną dłonią męczarni.. Oczy zdawały się wybiegać z pod powiek usta miała otwarte, zęby ściśnione konwulsyjnie,

czoło zwisłe na żrenice, brwi ściągnięte, a ręce trzymała wzniesione i splecione po nad głową...

Zdyszana pierś miotła się jak fala, a chwilami brakło jój jeszcze oddechu.

Nie wiem jak długo walczyłaby tak z cierpieniem, i odrętwiałość czy zupełne szaleństwo skończyłoby jój męki, gdyby z ciemności nie ukazał się po chwili wychodzący Aprasz.

Staął on naprzeciw niej, znowu silny, rozkazujący: taki, jakim był, nim mu dziewczyna odebrała dowództwo i władzę. Popatrzał na nią i niepostrzeżony przybliżył się.

— Aza! — krzyknął nagle głosem, który ją jak piorun uderzył—do obozu!!

Ona podniosła nań oczy strwożone i obłąkane.

— Do obozu *Egaszi!* do *kakabij* (kotła) ogień palić, jeść gotować i posługiwać, a nie po nocach się włóczyć!

Dziewczyna osłupiała, a cygan chwyciwszy ją za ramię, gwałtownie pociągnął za sobą. Nie było z jój strony ani oporu, ani łzy, ani słowa, ani jęku; spuściła głowę, i poszła posłuszna. Na mogile wiatr z suchemi gałęzmi i ptacy wędrowni poczęli długą rozmowę, która trwać miała wieki.....

Tegoż wieczora obóz cyganów opuścił nagle Stawisko, i skrzypiący wóz ich pociągnął dalej, unosząc skrzepowaną Azę, około której siedziała stara Jaga, którą Aprasz wyznaczył za stróża dziewczynie.

Dawny dowódzca objął znów żelazną ręką rządu gromady a *Romy* i *Puza* na czele, słuchali go jak niewolnicy do pańskiego przywykli głosu.....

My zajrzemy jeszcze na chwilkę do dworu pana Adama, nim go stracimy z oczu na długo.

Po odejściu Azy, po odkryciu tajemnicy przywiązania jój do Tumrego, pan Adam naprzód się silnie rozgniewał, czując się upokorzonym tém nieszczęśliwém współzawodnictwem z cyganem; potem chciał gonić za cyganką, nareszcie bezsilny, gniewu się wyrzekł, i niewiedząc sposobu dogodzenia namiętności bez wielkich ofiar, opuścił ręce, usiłując zagłuszyć serce, czy żądzę odzywającą się jeszcze.

Ale nie tak łatwo z sercem swém wojować temu, który go się z młodu nie nauczył zwyciężać i kierować niém. Pan Adam poczuł wkrótce, że cygankę

mocniej ukochał, więcej się do niej przywiązał, niżeli sobie wyobrażał zrazu.

Chciał za nią gonić, szukać jej, porwać ją siłą, niezważając ani na jej przywiązanie do Tumrego, ani na obojętność i szyderstwa. Nim to postanowienie przyjść mogło do skutku, banda cyganów daleko już była od Stawiska i znikła bez śladu, pozabierawszy tylko swoje i cudze konie, narobiwszy szkód bez liku, a po sobie zostawiwszy mogiłę w polu, łązy i przekleństwa.

W takich jak Adam ludziach, strapienie gwałtowném jest tylko w pierwszej chwili; ale nie trwa długo i przechodzi bez śladu. Dni kilka dość było żeby boleść zmieniła się w tęsknotę, w znudzenie i potrzebę szukania rozrywki; a jej pragnienie już było najlepszą przepowiednią całkowitego zapomnienia przeszłości. Ziewnął, stęknął, kazał zaprzęgać pan Adam i do miasta pojechał.

W chacie po Tumrym, zbudowanej z taką pracą i wytrwaniem żelazném, nie mogła się rychło zatrzeć pamięć jego; bo ręka robotnika wszędzie zostawiła po sobie ślady, i każdy kawał drzewa ją przypominał. Biędna Motruna musiała zamieszkać w lepiance, i patrząc na nią, dołę swoją oplakiwać.

Po śmierci cygana przybliżyli się do niej bracia, ale i ci niewiele pomódz, mało los jój zmienić mogli. Potrzeba znać życie i zasoby najdosłatniejszego wieśniaka, by uwierzyć, jak niełatwo mu przy najlepszych chęciach wziąć na barki kobietę i dziecię. Dwaj bracia Motruny radzi byli coś dla niej uczynić, ale żony ich na samą wzmiankę o tém, że cyganka mogłaby przenieść się do ich chaty, zakrzyczały, poczęły rzucać się i gniewać, tak, że i pomyśleć o tém bez zakłócenia domowego spokoju nie było można. Trzeba więc było Motrunę zostawić na miejscu, w lepiance jój pod cmentarzem; a i tam nawet Maxym i Filip niewiele jój dostarczyć mogli, bo natychmiast żony ich obawiające się o siebie i dzieci, o głód na przednówku, głośną poczynęły wojnę za każdy datek. Przy najlepszych chęciach, rzadko téż wieśniak jest w stanie przełamać się czarnym chleba kawałkiem. Najbogatszy ma ledwie tyle, że się głodu nie boi do nowego ziarna, a sprzedają pozostałej odrobiny, opędza pierwsze życia potrzeby. Jakże wielkiego potrzeba uczucia, jak świętych obowiązków, by wystawił na szwank los swój i rodziny? Bracia Motruny dopomagali jój ale tając się przed żonami, potrosze tylko i szczupło.

Pan Bóg zesłał jój opiekuna i niespodziewanego pomocnika w głupim Janku. Los tego odrzutka tak był ciężki w własnej chacie, tak nim tam poniewierano, często nawet wypędzając zupełnie, choć robił więcej niż za jednego człowieka i za jedno zwierzę domowe; tak mało mu tam dał kto dobre słowo, że głupi Janek, który śmielój i niepotrzebując udawać głupoty, przystępował do Motruny, do cygana: do nich się téż więcej niż do swoich przywiązał.

Los szczególnież kobiety zdawał się go silnie zajmować, bo Tumrego był znienawidził w końcu i prawie do samobójstwa popchnął przez żal, jaki do niego miał za Motrunę. Po śmierci téż jego, Janek na chwilę wdowy nie opuścił: zajmował się sam pogrzebem, odprowadził ją do chaty, i pozostał przy niej na straży; w ten sposób ją i dziecię za rodzinę sobie przysposobił. Tegoż wieczora zaraz nasłał słomiany barłóg w sionkach pod drabiną u drzwi izby, i tam się umieścił. Nazajutrz poszedł do swoich dla zabrania garści łachmańców, zowiących się jego własnością i nierzekłszy słowa, porzucił chatę ojcowską nazawsze.

Motruna miała z niego więcej niż parobka i posługacza: bo brata i opiekuna czuwającego nieustannie

nad nią i sierotą. Przywiązanie i litość zrobiły z Janka istotę pełną przebiegłości, zapobiegliwą, baczną i bystrą nawet w potrzebie. Dla Motruny umiał zaraz znaleźć zarobek, znosząc jój przędzę na motki, i różne drobne nastęrczając zajęcia, za które sam się wprzód targował, i chatę zasposabiał w żywność i sprzęt potrzebny. Drwa sam zbierał i nosił, wodę czerpał, rąbał, palił, gotował, świecił, dziecko całemi godzinami kołysał; a w strawie bojąc się zrobić uszczerbku, żywił się suchym chlebem i pozostałymi w garnkach resztkami jadła, którychby pieszczone psie nie chciało.

Nierychło opatrzone się w jego chacie, że głupiego Janka niestało; ale kiedy kilka dni nie powrócił, jakoś go zabrakło wszystkim. Bracia postrzegli, że nie mieli się kim wyręczać; siostry nie miały kogo posyłać, łajać i nękać, a bratowe nie znalazły z kogoby się tak bezkarnie naśmiewały. Choć wszyscy narzekali, że darmo chleb zjadał, gdy go niestało, stękać poczęli, że się nie obejdą bez niego, i nuż zbiega przeklinać.

Szpiegowano, dopytywano się, śledzono gdzie się mógł podziąć; ktoś odkrył nakoniec, że posługuje u Motruny. Posłano zaraz starszego brata ode-

brać głupiego Janka, a ten obcesowo wpadłszy, łajając go począł, znalazłszy w kuczki siedzącego wsionce pod drabiną i kręcącego kawałek powrozu.

— A co ty tu robisz? próżniaku, darmożjadzie!
A do chaty, do roboty—krzyknął pan brat.

Janek podniósł głowę, zmrużył tylko jedno oko, popatrzył na przybysza, splunął i dalej swoje robił.

— Co to ty sobie myślisz?

— Ot co myślę,—odparł Janek spokojnie—myślę tu zostać i zostanę!

— Albo to my pozwolim włóczyć ci się gdzie chcesz?

— A na cóż ja wam potrzebuje?—odparł ruszając ramionami — he? Małościeto mnie nawymawiali, że chleb jem daremnie? A daliście mi kiedy szmat, o-dzieży; dali nową koszulę i choćby łapcie na zużo-
ne nogi? Kiedym ja wam niepotrzebny, po cóż sie-dzieć miałem! Idźcie sobie braciszku z panem Bo-giem i kłaniajcie się odemnie staremu Łysce...

Brat porwał się bić, ale Janek schwycił go za barki, wyrzucił z sieni i drzwi podparł kołkiem; a napastnik nakrzyczawszy i naodgrązawszy się z po-dwórza, poszedł z niczém do domu. Pozywano Jan-ka do dworu na sprawę, ale tu głupi parobczak jak

zaczął się bronić, przy swoim się utrzymał; pozwolono mu zostać z wdową, a braci odprawiono z kwitkiem. Dowiódł bowiem, że ani przysiewku w polu nie miał nigdy, ani odzieży nie brał, ani płacy, ani mu żadnej części z ojcowizny wydzielić nie chciano; nie miał więc żadnego obowiązku pracować tam za wszystkich, gdzie nikt mu nic za to, nawet łyżki pocziwój strawy, nie dawał.

Bracia srożyli się, krzyczeli, poznawszy że im bez niego jak bez pomiotła, nie będzie lekko wszystkim śmieci zagrzebywać; probowali odciągnąć go obietnicami, ale nic nie pomogło.

— Dopiero byto był głupi Janek — mówił parobczak — żeby się dał drugi raz złapać jak wróbel na plewę. Ho! ho! niedoczekanie wasze: raz się wyprzągłszy z tego jarzma, drugi raz w nie karku nie nagnę, bom spróbował jak mula! Bywajcie zdrowi i kłaniajcie się staremu Łysce....

Łysko, stary pies podwórzowy, było jedyny Janek w chacie przyjaciół.

Motrunie, ani Jankowi na myśl nawet nie przyszło żeby na nich dwoje gadać coś miano; ale złe we wsi języki nie darowały i krzywemu Jankowi, ani błęd i schorzałym Motrunie: śpiewano o nich w kar-

czmie, śmiano się u studni i na przełazkach, choć oni ani się tego domyślali.

Janek był tak poczwarny i brzydki, że posądzenie o miłość jakąś dla niego, w głowie tylko starych bab i żon braterskich urodzić się mogło; a jednak gdy raz puszczono plotkę, przyjęła się i swatano ich zawczasu, a Janek tylko jak wyrobnik dla wdowy pracował.

Oboje często po całych dniach słowa do siebie nie rzekli, a Janek czasem tylko, gdy w lepszy wpadł humor, zmyślał powiastki dla rozweselenia Motruny. Ona słuchała i milczała, bo milczenie stało się dla niej nałogiem i drugą naturą, tak, że na słowo trudno się jój zebrać było. Zaśpiewała dla dziecięcia niekiedy, westchnęła ze znużenia, ale z serca zasklepionego ani się skarga, ani wspomnienie wyrwać nie mogło.

Macierzyństwo wystarczało jój do nędznego życia, w niém były wszystkie pociechy, nadzieje i cel przyszłości, a uśmiech dzieciny wywoływał i na jój usta coś nakształt smutnego, łzawego i bladego uśmiechu. Patrzała w kołyskę, siedziała przy niej, spała nad nią, i na chwilę jój nawet nie odstępowała. Czasem, gdy upadła znużona, Janek się

podkradł i niezgrabnie zakołysał dziecinę; ale za-
ledwie zapłakało, już Motruna zrywała się przera-
żona tym głosem, i znowu sama piastowała ukocha-
ną donię.

Takie tam było życie w téj mizernéj lepiance,
dnie, nocy, i jednostajnie płynące miesiące i lata.
W około ruch był na wsi: przemieniało się we dwo-
rze, ludzie się mijali, ustępowali jedni,stawiali
drudzy, kochali się, rzucali, umierali, rodzili. Tu tyl-
ko strzecha słomiana porastała mchami, Motruna
bladła i chyliła od pracy, Janek żółkł i garbiał co-
dzień bardziej, dziecina chodzić poczyniała; ale ani
los odmienny, ani dola lepsza nie zaświtała w le-
piance cyganichy.

Wioska nie odstępowała jéj wszakże, ale nie bar-
dzo téż chętnie garnęła się do niéj; nie tak z po-
wodu zabobonnego jakiegoś przesądu, jak raczéj
lękając się jéj ubóstwa. O! dla wielu, dla bardzo
wielu na świecie, nic nie ma strasniejszego nad
nędzę: dotknąć jéj ręką, spojrzeć się na nią lękają
żeby ku nim nie zajęczała prośbą, nie zwróciła się
z żądaniem pomocy!

Nawet o robotę nie było łatwo Motrunie, bo ma-
ło kto ośmielił się ją powierzyć ubogiej, lękając się

blizszego z nią stosunku. Przecież staraniem Jan-
ka nie brakło ani chleba, ani pracy, ani zarobku,
ani zbywało na pierwszych życia potrzebach. Przez
lato, gdy dziecina podrosła, Motruna mogąc ją mieć
z sobą w koszyku, najmowała się do żniwa; Janek
zarabiał także, i lepiej od drugih, bo czasem aż po
dwie kopy oziminy stawiał kiedy się rozmachał.
W zimie żyli groszem uzbieranym i kądziółką wdowy.

W tej wszakże nieustannej pracy, Janek począł
w lat kilka widocznie tracić siły, choć te zdawały
się niewyczerpane; a że był przesądny i nie pojmo-
wał, z kąd taka zmiana przyjść mogła: przypisywał
ją rzuconemu przez którąś bratową urokowi. Począł
więc chodzić od znachorki do znachora, dla zdjęcia
uroku, wypijał różne czarodziejskie leki, ratował
się zamawianiem i różnemi, ingrendyencyami wielce
podejrzanych własności, tak, że w końcu, skutkiem
tych leków, zapadł gorzej jeszcze i obległ naresz-
cie śmiertelnie.

Jeszcze go jakaś przy życiu trzymała siła woli
i ducha potężna; włożył się o kiju z sieni do izby,
z izby na poddasze, pomagając Motrunie; aż gdy je-
dnego wieczora uczuł się bardzo gorzej, pomyśla-
wszy, że śmiercią swoją biędną wdowie narobi kło-

potu, wziął kosztur, i niepożegnawszy się nawet, a przez szparę we drzwiach spojrzawszy na dziecinę, która już po izbie biegała szczebiocząc, powlókł się do chaty braci. Całych sił swych dobyć musiał, ażeby do nich się dostać, tak mu już w drodze słabo się zrobiło; a gdy na próg wszedł, zachwiał się i upadł pod piecem.

— Cha! cha!—rzekł—otóż mnie i macie panowie braciszku; chcieliście żebym do was powrócił toć jestem na usługi! Musicie mi teraz z ojcowizny choć pogrzeb sprawić i *domowinkę!* (1).

Jakoż w godzinę potém, głupi Janek już nie żył, a bracia choć się rzucali i łajali, zmuszeni byli pogrzeb mu sprawić.

Niepodobna wystawić żalu jaki ogarnął Motrunę, gdy się o śmierci Janka niespodzianie całkiem dowiedziała, gdy się jęj domyśliła raczój, bo zniknięcie jego nie mogło mieć innego powodu. Dwoje tych istot tak się zżyło z sobą, że wdowa myśl jego odgadła odrazu i rozplakała się, uczuwszy, że nawet w chwili boleści przedśmiertnych pamiętał o niej

(1) Tak w niektórych wsiach wołyńskich zowią poetycznie trumnę.

jeszcze i bał się jej najmniejszą przykrość wyrządzić. Tak już do niego była przywykła, że zdawało jej się niepodobieństwem wyżyć i wystarczyć bez Janka sobie i dziecięciu. Drugito już raz tak wdową ją los robił.

Głupiego Janka brakło wszędzie i ciągle, bo on był duszą nędznej chatki. Nie mogła Motruna wyjść na próg, żeby go sobie nie przypomniała po miejscu, które pod drabiną w sieni, zimą i latem zajmował w rodzaju budki, skleconej z tyczek od fasoli i miętj słomy. W samej chacie pełno było śladów pracowitej ręki jego i przemyślniej głowy: wyuczył się bowiem bednarki, ciesielstwa, mularki, i wszystko niemal sam robił, bo płacić nie miał czem majstrom. Na kołku nad ławą naprzeciw pieca, gdzie siadać i grzać się lubił, stary jego dziurawy kapełusz słomiany wisiał jeszcze, i pyłem przysuty, pozostał jak widoma po nim ostatnia pamiątka.....

Znów za tym pogrzebem przyjaciela poszła Motruna i ucałowała trunnę, ostatni chleba bochenek, ostatni płótna kawałek kładnąc na niej wedle zwyczaju; bo tych bracia mu poskąpili.. Późno w noc skostniała powróciła do pustej, straszliwie pustej

chałupki, myśląc co pocznie z sobą i dzieciną a myśl ta ręce odebrała jój na długo.

Dopiero szczebiotanie dziecięcia obudziło ją z marzeń przykrych, do życia i pracy. Ta jest korzyść nędzy, że w niej praca koniecznością, a ona najlepszym cierpieniem lekarstwem!

Trzeba było wziąć znowu kądziel i wrzecziono na chleb dla małej Marysi; ale nie było już kim się wy ręczyć na wsi, ani komu odnosić motków i wypraszać przedziwa!

W takiej niedoli i najostatniejszej nędzy, z dnia na dzień grożącej śmiercią głodną, rosła sierota, Marysia.

Matka widziała już w niej, jak wszystkie matki w dzieciach swoich, maleńkie cudo a wielkie nadzieje; ale obcy nawet i niechętni, gdy szła ujawszy fartuch Motruny, maleńkimi nóżkami ścigając ją i podskakując jak ptaszę za matką; oglądali się z jakimś zajęciem na dziecko cygana.

Maryś, gdyż tak ją pospolicie nazywano, była w istocie śliczną dziewczynką, w której twarzyczce dwa złączone typy, wschodni i północny, wydały

trzeci odrębny, obojga wdzięki tylko mający. Maryś miała śliczne oczki czarne, ale nos prosty i nieco zakrzywiony, czoło wysokie, usta nieco wydatne, a pełne uśmiechu i słodczy; płeć dziwnie białą, włos złocisto-ciemny. W dzieciństwie już znać było dziwną zręczność ruchów, zwiastującą czém być miała, gdy rozkwitnie na dziewczeczkę. Motruna zakochana w niej do szaleństwa, stroiła ją, ubierała, wdzięczyła czém mogła, nienasycony wzrok pasąc tą twarzyczką pełną wczesnego rozumu, przenikliwości i łagodnej dobroci.

Z każdego słówka sieroty tryskał niezwykajny dowcip, niecierpliwa ciekawość świata i chęć wybiegnięcia o swojej sile między ludzi. Małeńka już poczęła matkę wyręczać tak zręcznie we wszelkiej pracy, tak nieraz zdziwiła ją zgadując myśl jej lub poddając radę, że Motruna miała ochotę klęknąć przed cudowną dziewczynką. Kręciło się to od rana do wieczora po chatce, śpiewało, biegało, a gdy matka po swojemu spuściła głowę obciążoną smutkiem, czepiała się na jej kolana, rozcałowując jej zadumę.

Wychowana w ciągłym niedostatku, Maryś miała jakiś instynkt zaradzenia wszystkiemu, i w głowie

swój dziecinnój często więcej znalazła, niż matka w całém swém zbolałym sercu.

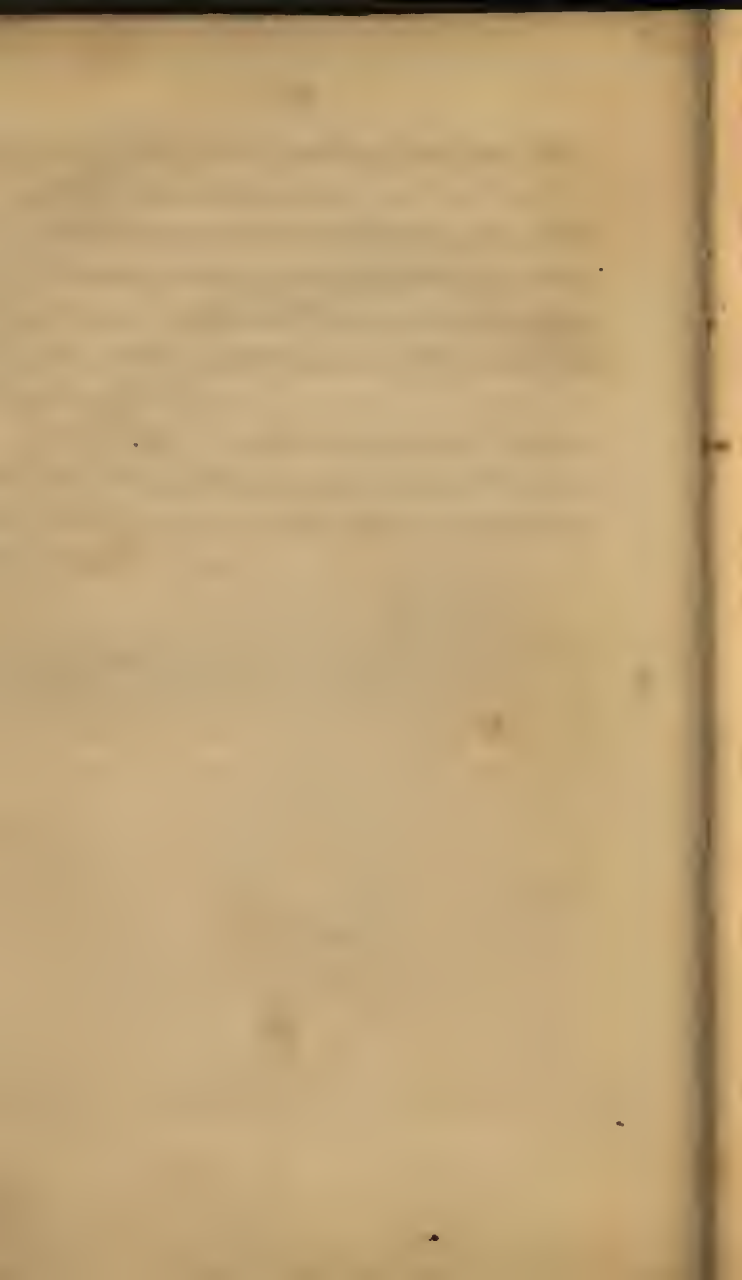
A tak to się umiało przymilić, uśmiechnąć, podo-
bać, ułagodzić, że nieraz najobojętniejszy zatrzymał
się gdy przemówiła; a stare nawet baby wracając
z targu, rzucały cygańskiemu dziecku po jabłku
lub obwarzanku.

Taką dorosła Maryś lat dwunastu, na bohaterkę
ostatnią naszej chatki za wsią; a chciećli wiedzieć
co się stało z sierotą, to poczekajcie trochę do na-
stępnego opowiadania.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.







008 121/2/11

44 45-





Biblioteka Raczyńskich

JK 874



JK0874